RODZINA
i
DZIECKO

DOM i SZKOŁA

N. 7

ROK III WRZESIEŃ 1938

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ:

NR 7 WRZESIEŃ 1938 ROK III

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

OD REDAKCJI.

„Życzę więc rodzicom i nauczycielom, aby rok ten minął dla wszystkich jak najpomyślniej. Życzę też przede wszystkim, aby w wysiłkach wspólnych nad nauczaniem i wychowaniem dzieci panowała jak największa harmonia pomiędzy rodzicami i nauczycielstwem. Pamiętajmy, że **wychowując młodzież, budujemy podstawy rozwoju Polski. Czyniąc to dobrze, przyczyniamy się najbardziej do rozwoju siły, potęgi i bogactwa Rzeczypospolitej".**

Z przemówienia Pana Ministra Wyznań Rel. i Oświecenia Publ. z dn. 4 b. m.

Kurtyna idzie w górę, nowy akt, nowy etap w życiu młodego pokolenia się rozpoczyna. Po złotym epizodzie wakacji — niby jakimś bajecznym wypadzie w nierzeczywistość — powrót do prawdy, do pracy i zdobywczego wysiłku! Są liczne rzesze chłopców i dziewcząt, które do tej swojej rzeczywistości szkolnej — życia koleżeńskiego, niewielkich wysiłków i łatwych tryumfów — biegną z pośpiechem i zadowoleniem. Są inne, może liczniejsze, boleśnie przeżywające rozstanie czasem z domem rodzinnym, prawie zawsze ze swobodą, czystym powietrzem wsi, z dosytem ruchu i sportu, lub tylko z najukochańszym, najsłodszym — absolutnym nieróbstwem. Rodzice i szkoła stanąć muszą na straży, aby nie zgasł radosny zapał pierwszych, aby wola i zainteresowanie zwyciężyły rozżalenie i słabość drugich. Od atmosfery pierwszych dni i nawet godzin zależy często atmosfera całego roku szkolnego. Trzeba go dobrze zacząć! Musimy go dobrze zacząć naszym dzieciom my, ich wychowawcy i opiekunowie — Dom i Szkoła — tym zwłaszcza, które po raz pierwszy przestępują próg nowej uczelni, powszechnej, gimnazjum czy liceum. Musimy — Rodzice i Nauczycielstwo — spotkać się ze sobą z uśmiechem życzliwości, z serdeczną, dobrą wolą współpracy i dużym kredytem wzajemnego zaufania. Bo jedni i drudzy nie mamy innego celu przed sobą, jak dobro powierzonego nam przez Boga i Naród pokolenia. A jeżeli czasem inaczej dobro to rozumiemy, innymi metodami próbujemy je realizować — to przecież mamy wspólny język w najszerszym znaczeniu tego słowa — przecież się dogadamy.

„Rodzina i Dziecko" jak co roku temu właśnie „dogadaniu się" otwiera swoje łamy i wita serdecznie swoich przyjaciół, współpracowników i czytelników, zapraszając ich do wymiany zdań i spostrzeżeń na tematy dla nas wszystkich palące i aktualne.

Dr Andrzej Niesiołowski

GDYBY TAK...

Jest dziś jakiś niepokój „w powietrzu", jak to się mówi. Świat przeżywa jakieś dreszcze narodzin nowej epoki. Biją o nasze granice fale potężnych, żywiołowych ruchów. I budzą się podrywające myśli: czy naród nasz podoła w tym straszliwym wyścigu, nie tylko maszyn, kapitałów i idej — ale nade wszystko w wyścigu entuzjazmu? Wierzymy, że wobec zwycięstwa kolektywizmu i ustrojów totalnych, którego zdumiewającym obrazem była entuzjastyczna... kapitulacja Austrii, spada na Polskę straszliwy ciężar obrony wolności sumienia i kultury chrześcijańskiej, teraz już nie tylko przeciw barbarzyństwu wschodniemu, któremu na imię bolszewizm. Wyrastają przed nami zadania, które — jak się wydaje — nie będą jedynie misją jednego pokolenia. Nie wiemy, kiedy nadejdą chwile decydującej próby, ale wiemy, że trzeba do nich być gotowym.

I wiemy, że najważniejszym frontem, na którym się to pogotowie Narodu przygotowuje, jest dom rodzicielski i szkoła.

Nie będziemy się w tej chwili zastanawiać nad tym, czy ta druga dorasta do swych zadań. Możemy tylko stwierdzić, że coraz bardziej musi ona wciągać do współpracy organizacje młodzieżowe, które jedynie mogą zorganizować wolę samej młodzieży i jej aktywność, gdyż szkoła sama nie potrafi nigdy prawie wykrzesać z ucznia spontanicznego entuzjazmu.

Zastanówmy się jednak nad rolą domu rodzicielskiego w wychowywaniu tego nowego pokolenia, które potrafi rozbudzić śpiące wciąż jeszcze siły naszego Narodu.

Dom rodzicielski, można powiedzieć, zdał już swój egzamin w ciągu naszej historii. Za czasów zaborczych, gdy chodziło o odpór wobec wpływów wrogiej szkoły i wrogiej kultury, udało się na ogół dobrze urzeczywistnić hasło „twierdzą nam będzie każdy próg". Dom okazał się silniejszym od szkoły.

Dziś sytuacja na pozór jest o tyle lepsza, że polska szkoła jest sprzymierzeńcem domu, że na ogół cele i dążenia są te same. A jednak, rzecz dziwna, wyniki tej współpracy są, jak dotąd, na ogół jeszcze bardzo słabe. Nie trzeba nawet przytaczać wypadków, gdy współpraca ta przybrała charakter jakiejś krwawej karykatury, jak w owej pamiętnej aferze łódzkiej, która tak ubiegłej zimy wstrząsnęła opinią. Był to niewątpliwie wypadek w tych rozmiarach odosobniony. Niemniej sam fakt, że tego rodzaju pojmowanie stosunku rodziców do szkoły, choćby w najbardziej upośledzonym środowisku podmiejskim, było wogóle możliwe, wskazuje na to, że w stosunkach między domem a szkołą zachodzą u nas jeszcze jakieś tragiczne nieporozumienia.

W okresie niewoli stosunek ten był prosty. Posyłając z konieczności dziecko do szkoły obcej — dotyczy to przede wszystkim zaboru pruskiego, który zupełnie był pozbawiony szkolnictwa polskiego, rodzina polska była twierdzą polskości, w której się dziecko mniej lub więcej świadomie uodparniało przeciw wpływom obcym. Odpór ten rodził się samorzutnie jako wynik naturalny ucisku narodowego.

Współpraca p o z y t y w n a, choć to się może wydać paradoksem, jest rzeczą o wiele t r u d n i e j s z ą. Nie działa tu żadna samorzutna reakcja obronna. Motorem może być jedynie d o b r a w o l a i a k t y w n o ś ć rodziców. Jest to jednak jeszcze stanowczo za mało. Przypuszczać można, że owi rodzice, którzy chcąc zdobyć pieniądze na potrzeby szkoły i opieki nad ubogimi dziećmi, sięgnęli do tak tradycyjnego środka, jak urządzenie zabawy, mieli przecież jak najlepszą wolę. A nawet był to dowód aktywności. Wydać się też może, wobec panujących w społeczeństwie naszym i dziś jeszcze poglądów, rzeczą wcale nie dziwną, że ów łódzki komitet rodzicielski uznał, iż bez alkoholu zabawa się nie uda. Tak myślą przecież bardzo jeszcze liczne „komitety rodzicielskie". Ludzie ci poprostu nie zdają sobie z tego sprawy, jak straszliwą jest siła zniszczenia, drzemiąca w butelce tej rzekomej „pocieszycielki".

Kwiestię zabaw szkolnych wysunęliśmy tu dlatego, że ilustruje ona tak powszechną dziś p o s t a w ę d u c h o w ą. Jest ona odbiciem poglądów, panujących w ogniskach domowych. Ogniska te stają się dziś aż nazbyt często ośrodkami innego zupełnie rodzaju odporu przeciwko wpływom szkoły. Tym razem jest to reakcja nie czynników wartościowych, jak przywiązanie do własnego narodu, ale r e a k c j a h e d o n i z m u i p r z e s ą d ó w t o w a r z y s k i c h, w jakich wyrastało dziś u steru będące pokolenie. Szkoła jest bezsilna wobec takich wpływów domu. Czasem zdarza się wprawdzie, że dzieci same reagują przeciwko błędom rodziców. Niejeden syn alkoholika został abstynentem. Trudniej już może o reakcje przeciwko rozwydrzeniu seksualnemu. Nie bardzo można sobie wyobrazić, by czystość moralna mogła tam dojrzewać, gdzie atmosfera domu jest przepełniona szmoncesami kabaretowymi. Nie częste są dziś jeszcze wypadki, że rodzice potrafili stworzyć ze swego domu ś r o d o w i s k o w y c h o w a w c z e o decydującej przewadze czynników kostruktywnych.

A jednak jest to warunkiem wszelkiej skutecznej pracy nad wytworzeniem nowego typu polskiego, nie cierpiącego już na znamiona epoki minionej.

Lecz jak dojść do tego celu? Toć rodzice to ludzie, którzy za młodu przeważnie podlegali podobnym wpływom i nie zastanawiali się najczęściej jeszcze poważnie nad tym, jakim winno być nowe pokolenie i jakie do tego drogi prowadzą. Nasza praca „wychowawcza" to najczęściej o d r u c h y z n i e c i e r p l i w i e n i a wobec „nieznośnych bachorów", albo t a n i e m o r a ł y, które się wygłasza po prostu trady-

cyjnie, nie zastanawiając się nawet nad tym, czy własne postępowanie jest zgodne z głoszoną nauką? Jakże nieliczni są jeszcze rodzice, którzy się poważnie zastanawiają nad celami i metodami wychowania. Oczywiście mamy tu na myśli inteligencję, bo u warstwy średniej, u proletariatu i u ludu wiejskiego sytuacja jest gorsza jeszcze; tam bowiem rodzice, zajęci ciężką pracą, nie mają czasu, by o tym pomyśleć — i braknie im też przygotowania. Zdarzają się wprawdzie nawet wśród ludu wiejskiego nadzwyczajne talenty wychowawcze; będzie to normalnie talent serca i intuicji, opartej na podstawach głębokiej wiary i pobożności. Takim geniuszem wychowawczym w chustce była np. matka św. Jana Bosko [1]). Lecz na pojawianiu się wyjątkowych talentów nie można budować. Potrzeba czasu woła o jakiś środek, dostępny dla wszystkich ludzi dobrej woli, który by umożliwił podniesienie wychowania domowego o jeden szczebel wyżej.

O ile śledzić będziemy mechanizm postępu kultury i jej upowszechniania się, to przekonamy się rychło, że zawsze chodzi tu o to, że jednostki twórcze, odczuwające pewne potrzeby swego czasu i środowiska, znajdą nowe jakieś zasady i metody, wprowadzając do dziedziny życia, w której dotąd rządziła tradycja czy moda — postępowanie, oparte na zasadach. Nazywamy ten proces racjonalizacją. Raz stworzona forma życia rozpowszechnia się już na drodze naśladownictwa i staje się stałą instytucją, która włącza się w cały system ustroju społecznego jako nieodzowne jego ogniwo.

Zapytajmy się, czy nie istnieje już może forma pracy, która mogłaby tę potrzebę racjonalizacji wychowania domowego w jakiś sposób rozwiązać?

Sprawa nie jest łatwa. Przede wszystkim trzeba sobie z góry powiedzieć, że nie rozwiąże tego problematu żadna nowa organizacja. Organizacja, to nowe podzielenie swej i tak już bardzo rozparcelowanej osobowości, to nowe składki, zebrania referatowe i nowe formy życia zbiorowego, którym tak często nie odpowiada żadna głębsza treść. Zwykle z początku, w okresie pierwszego zapału, treść ta jest żywa, ale rychło zwycięża nad nią sama forma. Przyzwyczajenie zastępuje wewnętrzną potrzebę. Mechanizm organizacyjny działa, ale nie przetwarza się samo życie, nie „formuje" się sama osobowość, nie zmienia się konkretne postępowanie. Idee się przyjmują, ale pozostają one jakoby ponad życiem.

Jest jednak pewna forma pracy, która jest czystą treścią, która nie stwarza żadnych mechanizmów organizacyjnych, trwających dłużej od

---

[1]) O życiu Małgorzaty Bosko wydali popularną książeczkę OO. Salezjanie (bez autora).

samej istoty dążeń. Formą tą są k ó ł k a wzgl. z e s p o ł y[1]) s a m o k s z t a ł c e n i a. Kółkom takim zawdzięcza Szwecja swą przodującą rolę w kulturze miast, a szczególnie warstwy robotnicze, a katolicy francuscy oparli na nich całą dynamikę swego ruchu. Kółka tworzy się normalnie w obrębie już istniejących organizacyj masowych. Odgrywają one tam rolę szkół elity moralnej, intelektualnej i szczególnie organizacyjnej. Istotą tej formy pracy jest to, że nie uznaje ona biernych uczestników, i nie stwarza żadnych wielkich aparatów organizacyjnych. Kółko wzgl. zespół to forma luźna, która się rozpada, gdy zabraknie więzi wewnętrznej. Właśnie dla tego braku a raczej dla szczupłości form może tu w pełni rozwinąć się sama treść. Istotną jest rzeczą, by dobrać grono ludzi bliskich sobie dążeniami i postawą duchową, a także, oczywiście, i poziomem umysłowym.

Kółka i zespoły są formą pracy, która rozwinęła się ostatnio i w Polsce, głównie na terenie młodzieży[2]). Nie jest to jednak bynajmniej system, jedynie do potrzeb młodzieży dostosowany. Znamy i zespoły starszych, które rozwijają się dobrze[3]). Istotną rzeczą jest tu nadanie im pewnego charakteru zebrań t o w a r z y s k i c h. Szczególnie, o ile chodzi o w s p ó l n e zebrania ojców i matek. Można by oczywiście, może i łatwiej, stworzyć specjalne koła matek, a może i ojców. Łatwiej tu o wymianę zdań i o rzeczową dyskusję. Zebrania wspólne mają jednak też swoje dobre strony, choćby już dla tego, że są one bardziej atrakcyjne i w dyskusji nad problematami wychowania unika się jednostronności.

Chcę tu wysunąć k o n k r e t n y p r o j e k t. Czy jest on realny, o tym nie moją jest rzeczą rozstrzygać. Założenie realności jest tylko to, że znajdą się u nas rodzice, którzy zgodzą się z tym, iż zamiast tak przeraźliwie jałowych zebrań towarzyskich dawnego typu, zamiast zabijania czasu brydżem czy pustą konwersacją, która tym się właśnie szczyci, że jest mówieniem „o wszystkim i o niczym", mówieniem dla samego mówienia (a najwyżej dla wyładowania potrzeby... obmawiania bliźnich), można by spróbować z urządzaniem w dobranym gronie z e b r a ń d y s k u s y j n y c h na tematy wychowania dzieci, stosunku do szkoły, form i zakresu współpracy, ale i wymagań, jakie rodzice mają prawo stawiać. Z dyskusyj takich wyłonią się z pewnością dalsze wnioski, że chcąc wychowywać dzieci trzeba najpierw w y c h o w a ć s i e b i e s a m e g o. Istotną rzeczą jest tu, by te dyskusje odbywały się w gronie

---

[1]) Różnica między kółkiem a zespołem leży w tym, że zespół ma p o d z i e l o n e z a d a n i a, tak, jak w zespole muzycznym, gdzie każdy ma inny instrument, a w kółku takiego podziału nie ma. Jeśli każdy uczestnik weźmie jakiś temat czy dział pracy wzgl. zainteresowań, wtedy mówimy już o zespole, inaczej będziemy mieli zwykłe kółko.

[2]) Literaturę dotyczącą kółek i zespołów St. Sedlaczek w wydanej świeżo bibliografii pracy oświatowej, przygotowuje się też specjalny podręcznik.

[3]) Kółka takie tworzone już np. na terenie Związku Pań Domu.

dobranym, o jednolitym poglądzie na świat, gdyż bez wspólnych założeń nie można nigdy budować żadnych konkretnych rozwiązań. Wymiana zdań między inaczej myślącymi na tematy zasadnicze jest wprawdzie również rzeczą pożyteczną, bo zmusza do refleksji i uświadomienia sobie własnego stanowiska, jego założeń i wypływających z niego konsekwencyj; ale nie o to nam tu chodzi.

Wyłania się pytanie, czy nie starczą tu systematyczne pogadanki na zebraniach ogólnych kół rodzicielskich czy na wywiadówkach. Niewątpliwie, że takie wykłady są pożyteczne i konieczne, ale nie rozwiążą one problematu racjonalizacji wychowania i samowychowania rodziców. Takiego wykładu się wysłucha i... idzie spokojnie do domu, by znowu żyć po staremu. Wyjątkowy to wypadek, że rodzice na serio zastosują zasady, usłyszane na jakimś wykładzie. Są one normalnie zaogólne i — co najważniejsza, brak tu „kontroli społecznej". Inna rzecz, gdy się omawia konkretne sprawy swoich dzieci w ciasnym kółku. Tu można nie tylko referować książki wychowawcze czy choćby przeczytać jakiś dobry artykuł i wspólnie go omówić, ale można omówić aktualne, konkretne problematy, jakie nasuwa wychowanie każdego dziecka zosobna. Toć dzieci są nieraz tak bardzo różne, że o każdym można by osobne studium pisać i dla każdego z nich trzeba inne reguły obmyślać. Ta dyskusja konkretna, to zarazem jakby pewne sprawozdanie z osiągniętych wyników, a więc dyskretna forma wzajemnej kontroli. W kołach takich muszą się kształtować ideały życiowe. Rodzice, którzy przez takie kółko przeszli, z pewnością nie urządzą zabawy szkolnej z alkoholem. Szczególnie dla tak bardzo skłonnych do utonięcia w prozie konkretnych zagadnień życiowych i zamykania się w obrębie domu matek jest to bodziec do aktywizacji umysłowej, społecznej i moralnej. Chodzi tylko o to, by się znaleźli inicjatorzy — a naśladowców nie zabraknie. Rzucamy tu projekt. Gdyby tak się znaleźli i rodzice, skłonni go wypróbować?

Maria Znatowicz-Szczepańska

MATKI I SYNOWIE.

Syn. Cała rodzina nie posiada się z zadowolenia. Dziadkowie opowiadają na prawo i na lewo, że doczekali się wnuka. Ojciec rośnie z dumy na widok następcy i dziecka — matka zapewnia, że zupełnie tak samo cieszyłaby się z córki, ale nie może ukryć uczucia radości i pychy, że powiła syna. Głęboko w psychice człowieka i daleko w dziejach ludzkości szukać trzeba przyczyn tego niezaprzeczonego zjawiska, że jako potomek — syn przede wszystkim upragniony jest i wyczekiwany. Pierwiastek siły, władzy, odpowiedzialności od wieków wyrażał się w nim dobitniej i zada-

walniał lepiej wrodzoną duchowi ludzkiemu potrzebę przedłużenia bytu swego na pokolenia. Ród pozbawiony synów skazany był na wygaśnięcie, boć córki szły z domu innym, obcym rodom dawać początek. W obecnej dobie zrównania, a w pewnym znaczeniu supremacji kobiet — takie nastawienie przychylniejsze na syna niż na córkę powinnoby zniknąć. A jednak pokutuje w nas i jak jeszcze! Młodej kobiecie, oczekującej dziecka, mówią starsze kobiety — ślicznie wyglądasz, będzie syn — i przyszła mamusia nie dopuszcza nawet myśli, żeby miało być inaczej.

No i cud się ziścił. Jest syn. W pełnej chwale należnego wynagrodzenia za ból i oczekiwanie przychodzi jako pierworodny. W należytym zadośćuczynieniu za poprzednie rozczarowania zjawia się jako drugi czy trzeci po córkach. Dobrze, że jest, ale trzeba go teraz wychować, bo sam fakt przynależenia do rasy władców świata nie daje mu bynajmniej patentu na doskonałość...

Czemu trudniej na ogół jest chować chłopca niż dziewczynę? Najpierw dlatego, że organizm męski jest w niemowlęctwie, jak to stwierdzają badania i statystyki, delikatniejszy od kobiecego, wykazuje większy procent śmiertelności, większą podatność na zarazki. Niemowlę płci męskiej jest mniejsze od niemowlęcia płci żeńskiej, bardziej nerwowe, więcej krzyczy, trudniej je karmić, trudniej utrzymać w porządku. A potem — dlatego także, że właściwą wychowawczynią jest matka, a więc w tym wypadku istota płci przeciwnej. Wiemy z dziejów jak starożytni Rzymianie, Grecy, Słowianie ujmowali sprawę wychowania chłopców. W Rzymie, w Sparcie należała ona do Państwa. Obyczaj słowiański wymagał, by siedmioletnieniu pacholęciu obciąć włosy, nadać imię i wtedy spod opieki kobiet przeprowadzić go na męską stronę domu, gdzie zaczynał się dlań od razu twardy tryb życia mężczyzny. Przez cały ciąg dziejów ludzkości odmienność wychowywania obu płci jest bardzo wielka i dopiero czasy ostatnie — a i to prawie wyłącznie w Europie — widzą zrównanie dziewcząt z chłopcami, tak pod względem wychowania fizycznego jak i umysłowego. Mimo to najnowsze kierunki pedagogiczne wciąż jeszcze stawiają postulat, żeby nie było dziedzin życia, w których dziewczynki wszystko m u s z ą, a chłopcy nic nie mogą i odwrotnie. Do konkretnego i ostatecznego zatem ujęcia właściwości, roli i zadań dwu płci nie doszło dotąd jak wiemy ani w pedagogice, ani w życiu, na co przykładów można by znaleźć bardzo wiele.

Ostatecznie było tak zawsze, nawet w starożytności, że odpowiedzialność moralną za syna ponosiła matka. Przypomnijmy matki Rzymianki, matki Spartanki, nasze polskie matki, pełne rycerskiego ducha i poczucia honoru. Ojciec rodziny walczył, zdobywał majątek, rządził despotycznie jako głowa rodu, był najczęściej nieobecny. Matka nie opuszczała domu, a z tego domu potrafiła czynić i twierdzę niezdobytą, i ognisko wiecznie płonące, i trybunał najwyższej sprawiedliwości, i przystań najsłodszego

ukojenia. Gdy ojca zabrakło, potrafiła matka dawnych czasów stanąć jako obrońca i żywiciel, i głowa rodu, nie zaniedbując wcale kobiecych swych zajęć, nie tracąc właściwej dawnym kobietom skromności, nie mając nawet pojęcia, że wyprzedza swoją epokę, bo daje świadectwo równości obu płci w zadaniach i możliwościach życiowych.

Zmieniały się czasy i ludzie, biegły lata, przebudowywała się psychika narodów, a rola matki jako wychowawczyni pozostawała w gruncie ta sama. I tak jest po dziś dzień, z tą różnicą, że czasy nowożytne z ich przemianami i wstrząsami gospodarczej natury zmusiły kobietę do zarobkowania poza domem, a więc wyprowadziły ją z zaklętego koła wyłączności domowej i z tą jeszcze, że sprawa wychowania jak wiele innych spraw stała się przedmiotem badań naukowych.

Teoria swoją a praktyka swoją drogą. Młode kobiety zanim zostaną matkami, powinny przemyśleć to najważniejsze dla nich zagadnienie życiowe, aby nie przystępować doń potem z pustką w głowie i w sercu, powinny przeszkolić je praktycznie, aby nie brać się doń leniwymi i niedołężnymi rękami. Z doświadczenia starszych powinny wziąć jak najwięcej, aby później nie potępiać bezkrytycznie osiągnięć przeszłości, nie umiejąc zastąpić ich zdobyczami czasów nowszych. Matką Grakchów czy Jugowiczów, hetmanową Żółkiewską — trudno być w wieku XX, ale jak być wzorową matką obecnych Jurków i Zbyszków, w tym sęk i zagadnienie nielada.

Chłopiec jest dalszy matce niż dziewczynka — powiedziane było na wstępie — bo jest płci odmiennej. Tę prawdę trzeba mieć bardzo na względzie, zarówno w dziedzinie wychowania fizycznego jak moralnego. O tę odmienność potknąć się można zaraz na wstępie i popełnić błędy nie do odrobienia. Dalszy jest syn fizycznie, bo matka nie może tak jak u córki sprawdzić na sobie samej właściwości jego budowy i organizmu. Powinna wiedzieć, jak fatalne skutki dla psychiki tego niemowlęcia może mieć nadużycie jego pobudliwości płciowej np. przez niepohamowanie w pieszczotach, branie do łóżka, zbytnia swoboda w ubieraniu się i rozbieraniu wobec własnego syna. Nie mówię tu oczywiście o pruderii i głupim strachu przed przyzwoitą nagością, bo niemożliwym stałoby się wtedy tak niezbędne dla rozwoju młodego organizmu uprawianie gimnastyki i sportów. Ale właśnie ten kierunek gimnastyczno sportowy w wychowaniu bywa terenem, na którym wiele „postępowych" a niedouczonych młodych osób nie krępuje się wcale, a jednak sposób zachowania się w kostiumie kąpielowym czy gimnastycznym może razić albo nie razić, być przyzwoitym lub nie — tego nie trzeba bliżej uzasadniać. Jeśli chłopak ma siostry, to oczywiście nie podobna odgrodzić go od nich tak, by nawzajem nic o sobie nie wiedzieli. Nieraz można tak łagodnie skorzystać z niewinności dziecięcej, pilnując jednak momentu stosownego do rzeczowych wyjaśnień. W stosunku braci do siótr trzeba mieć jako wkaźnik i cel póź-

niejszy stosunek mężczyzny do kobiety i głównie kłaść nacisk na wzajemną przyzwoitość, galanterię, uprzejmość ich sposobu zachowania się, wzajemną — to znaczy, żeby chłopiec nie brutalizował dziewczyny, a dziewczyna nie wyzyskiwała atutu swej „słabości" wobec chłopca. Ameryka, kraj pomysłów lepszych niż wykonanie, pilnuje, żeby w najskromniejszym nawet mieszkaniu boy, chłopiec, miał bodaj komórkę, ale osobną do spania. To bardzo ułatwia prowadzenie chłopca we względzie porządku osobistego, przyzwoitości, dobrych obyczajów, a jeśli w naszej biednej Europie jest często jeszcze niemożliwe, to trzeba innymi sposobami starać się o kulturę codzienności.

Mądra matka wie, że chłopiec mały trudno przyucza się do porządku i osobistej schludności. Przeważnie jest on w wieku lat 8-iu, 10-ciu, nawet później pozbawiony tego wrodzonego instynktu dbania o siebie, jaki mają dziewczynki, jego rowieśnice. Lecieć w świat, wyładowywać potrzebę krzyku, bitki — to jego żywioł. Będzie on tam tracił czas na mycie uszu i zębów? Można znaleźć przykłady bardzo drastyczne na to, co taki obywatel nazywa „traceniem czasu"' w owym okresie i załatwia jak się da, czyli jak zwierzątko. Jednocześnie nie wstydzi się on wtedy swej nagości zwłaszcza wobec matki. Trzeba z tego skorzystać i nie uważać za przesadę osobistego wglądu w sprawy łazienkowo-garderobiano-łóżkowe syna. Bo traktując te sprawy serio i naturalnie matka nie pozwoli swemu chłopcu uwikłać się w praktyki ciemne a fatalne i łatwym sposobem uczyni zeń gentlemana. Jeśli jeszcze przypilnuje w tym czasie ojca, żeby jako mężczyzna dorosły uwiadomił małego mężczyznę o pewnych prawach fizjologicznych i zabiegach higieny osobistej, to za jednym zamachem sprawi i to, że wiek tak zwany krytyczny nie zaskoczy chłopca w samotności. Droga do zwierzenia się rodzicom, że „coś takiego dziwnego ze mną się dzieje" będzie utorowana.

W wieku przejściowym bywa z chłopcem gorzej niż z dziewczyną. Jeśli matka rozpieszczała jegomościa, nie oszczędzała jego rozmaitych popędów, kiedy były jeszcze uśpione, nie nauczyła go panowania nad sobą samym, pozwoliła na lenistwo, nie czuwała nad tym, co czyta i z kim przestaje, to może być narażona na przejścia wprost straszne ze swym gagatkiem. A nawet przy uwadze i właściwym postępowaniu nie pozna go z dnia na dzień. Rozgrymaszony i nierówny jak histeryczka, skłonny do łez i do niezrozumiałych wybuchów wściekłości, leniwy do nauki i wszelkiego wysiłku, a aż nazbyt pochopny do rozrywek, nieśmiały a bezczelny, kpiarz i melancholik jednocześnie — potrafi on w tym czasie zatruć humor nie tylko rodzicom, ale i całemu domowi. Ale pod pokrywą tych wszystkich zdrożności męczyć się w nim będzie dusza, boleśnie dobywająca się z pąka, wołać będzie o współczucie i zrozumienie dla niego samego niepojęta tęsknota, rwać się będą słowa niemożliwe do wypowiedzenia.

W tym czasie niepotrzebna jest zbytnia czułość, roztkliwianie się a tym mniej oczywiście karcąca i urażona wobec tych wybryków postawa. Rozumna matka, która świadomie urabiała dotąd swój stosunek do syna, stanie teraz bez wielu słów i bez żadnej pozy u boku walczącego jedynaka i dopomoże mu do zwycięstwa (mówię: jedynaka, bo, choćby dzieci było 10-ro, każde jest dla matki jedynakiem wtedy, gdy jej potrzebuje). Co więcej — rozumnej matce teraz szczególniej wyda się syn interesujący, odmienny od córek, od niej samej, pełen nowych trudnych problemów, teraz gdy zacznie się z dziecka przetwarzać w mężczyznę. Zdarza się, że obok innych krańcowych objawów występuje w chłopcu w tym czasie egzaltowane uczucie miłości ku matce. Budząca się męskość szuka mimowiednie ucieleśnienia ideału kobiety i znajduje go w Matce. Miłość taka, bardzo w zasadzie swojej chwalebna i piękna, może jednak przybrać formę niesmaczną i zamiast podtrzymywać — męczyć i zasmucać chłopca. Stanie się tak wtedy, gdy matka w fałszywie pojętej dumie i egoistycznym zadowoleniu rozdmucha tę miłość albo zechce swoje osobiste zawody i rozczarowania uczuciowe nią zaspakajać. „Mój syn mnie uwielbia”... „Jestem ideałem mego syna”... Niepotrzebne zwierzenia, wyśrubowane sytuacje, nadmierne obustronne zachwyty spaczą stosunek naturalny i wreszcie zepsują go całkowicie.

Częściej w epoce naszej występuje pewna odmiana tego egzaltowanego stosunku: poufałe koleżeństwo, bezhierarchiczna „camaraderie” między matką, która, dzięki racjonalnej gimnastyce i kosmetyce, ciągle jeszcze trzyma się młodo a synem, wyrostkiem, którego ona postarza, robiąc zeń swego omal że nie równolatka i pazia jednocześnie. Szacunek należny matce? Uległość synowska? Broń Boże! Tego właśnie unika się najstaranniej. A przecież jeszcze lat kilka i młody człowiek pójdzie w życie o własnych siłach, ucieleśnienia kobiecego ideału poszuka wśród obcych, młodych naprawdę kobiet. Pocóż matka ma poczuć się zawiedziona, odepchnięta, zdradzona? Poco gorycz z tego powodu ma skierować na Bogu ducha winną dziewczynę, wybrankę „niewdzięcznego” syna? Wiele konfliktów rodzinnych bierze początek w nieumiarkowanej i źle zrozumianej miłości matki do syna.

„Arma virumque canò Troiae qui primus ab oris”... Pierwsza księga Eneidy... Cóż to? Mamusia skanduje te słowa z najprawidłowszym w świecie akcentem. Czy sama pamięta je ze szkoły? Może. A może nauczyła się łaciny, żeby synowi dopomóc, gdy będzie tego potrzebował? Nie zaskoczy jej także prośba o rozwiązanie zadania matematycznego: wszak w rachunkach domowych posługuje się zawsze regułą trzech i regułą procentów i daje sobie radę z niejednymi iksami i niewiadomymi. Na czytanie ma także czas, o każdej książce można z nią pomówić. Uprawia muzykę czy śpiew, a poza tym orientuje się doskonale w stopniach i godnościach harcerskich, meczom tenisowym czy lekkoatletycznym przyglądać się

lubi... O, to jest nastawienie właściwe, na takiej drodze matki spotkają i nie utracą już dorastających swych synów. Nie potrzebują być na to oczywiście chodzącymi encyklopediami wszelkiej wiedzy i wszystkich talentów. Wystarczy, jeśli swój własny rozwój duchowy i intelektualny wzięły sobie za obowiązek wobec dzieci i nie dopuszczają w sobie najmniejszego skostnienia, przeciwnie, zawsze są gotowe coś jeszcze rozwinąć, poprawić, rozszerzyć, ugruntować. Będzie to stokroć więcej warte i przez dzieci stokroć wyżej oceniane niż zatracenie się w domowej dreptaninie i dogadzaniu wszystkim naokoło. Jeśli jeszcze do tego potrafi matka zrobić tak, żeby chłopak *bawił* się w domu, żeby miał gromadkę dobrych znajomych, z którymi można wytańczyć się, wyszaleć, ugadać i naśmiać bez upamiętania u siebie w domu, to sprawa wygrana. Z dzikiego niedorostka, nieodpowiedzialnego za swoje wybryki, nie umiejącego ruszyć się ani przemówić, wykluje się niedługo zgrabny młodzian do tańca i różańca, nie szukający zbyt wcześnie i zbyt namiętnie rozrywek poza okiem rodziców.

Prawda, że nie koniec to jeszcze trudów. To strona życia raczej zewnętrzna, mimo swoich walorów niezaprzeczenie jaknajwewnętrzniejszych. Chłopak 16-sto, 18-stoletni jest teraz w okresie krytyki wszystkiego. Poszukuje prawdy, a nie zna — młodociany Savonarola — ani kompromisu ani wyrozumiałości. Więc cały świat wydaje mu się pełen błędów, śmieszność, niedostatków, a już najwięcej pretensyj ma do swoich najbliższych, bo ich kocha najmocniej. To jest chwila bardzo trudna, w której musisz, matko, utrzymać się za wszelką cenę na wysokości twego zadania. Tobie jednej przynajmniej musi syn wierzyć do głębi, na tobie sprawdzać przy każdej sposobności, że wszystko czujesz, rozumiesz, że kształcisz się ciągle dalej, że jeśli czego nie wiesz, to mu nie zblagujesz, tylko poszukasz z nim razem, a jeśli sprzeciwisz się jego zdaniu, to nie na wiatr, nie dla fantazji ani dla widzi mi się, ale dlatego, że możesz wysunąć poważne racje, z którymi warto dyskutować. W takim stosunku uzyskasz nad synem władzę doprawdy nieograniczoną i z żadną inną władzą obecną czy późniejszą nie porównaną.

Ale odwróćmy jeszcze medal tej sprawy na stronę ciemniejszą. Uczucie dziecka dla rodziców a zwłaszcza dla matki jest tak wrodzone, tak naturalne i silne, że często kobiety niewiele nawet warte moralnie są kochane i uwielbiane przez synów aż do śmierci. Niezasłużone a szczęśliwe, przypadkowe wyrazicielki tryumfu miłości dziecka. Trochę tylko starań, wrodzona może łagodność, wesołość, jakiś wdzięk osobisty w obcowaniu wystarczy, by je obdarzyć szczęściem, którego inne, wiecznie zapracowane, wszystko z siebie dające, nie otrzymały. Może się tak wydawać, ale powierzchowny to sąd i nietrwałe osiągnięcia. Czar tych lekkomyślnych niedługo trwa i niegłęboko sięga, bo wzorów i zrozumienia szukały ich dzieci z pewnością gdzie indziej. Zasługi tych zatroskanych i dogadzają-

cych nie były takie, by mogły wystarczyć dzieciom na życie. Ty, Matko, która rolę swą i posłannictwo inną mierzyłaś miarą, masz prawo do innej nagrody: żeby wtedy kiedy ciebie dawno już nie będzie, syn twój, sam już doświadczony i własne mający dzieci, pytał swego sumienia w chwilach zwątpień lub trudnych decyzyj: JAK POSTĄPIŁABY W TAKIM WYPADKU MOJA MATKA?

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

„Trochę prawdy" i zbyt wiele mylnych wniosków.

W „Przeglądzie Pedagogicznym", czasopiśmie, które jest organem tak poważnej instytucji jak Tow. Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, ukazał się artykuł, wprawdzie zakwalifikowany jako dyskusyjny, a mający zawierać „Trochę prawdy o współpracy domu ze szkołą", ale skierowany otwarcie i jawnie przeciwko tej współpracy!

Autorem jego jest p. dr. Rudolf Chirowski z Przemyśla, prawdopodobnie nauczyciel, jak to można wnosić ze znajomości bolączek nauczycielstwa w „walce" z rodzicami.

Rozważmy w czym tak bardzo zawiniła według autora ta współpraca, która zaledwie istnieć zaczyna? Rozpatrzmy po kolei jego argumenty:

Autor wychodzi z założenia, że istnieje zasadnicza rozbieżność celów, o które „walczy" (to słowo jest tu znamienne) dom, z tymi, o które walczy szkoła. Cel szkoły jest szerszy, uwzględnia przede wszystkim dobro społeczeństwa, narodu i państwa. Cel domu zaś na pierwszym planie kładzie dobro dziecka. Ale czy i szkoła również nie ma dobra dziecka na względzie? I czy zresztą te dwa cele naprawdę ze sobą nie dają się pogodzić? Według autora — nie. Jest on zdania, że dom i szkoła „ścierają się ze sobą i będą się ścierały w mniejszym lub większym stopniu zawsze".

Zaledwie to stwierdził, już sobie przeczy, mówiąc, że „dobra szkoła będzie szukała pomocy tam, gdzie ją znaleźć może i powinna — u rodziców". Okazuje się więc, że może i powinna w dążeniu do swoich celów szukać pomocy u rodziców, więc że bez tej pomocy dążeń swoich spełnić nie będzie mogła.

Autor jednak jest zdania, że „szkoła daje domowi" wszystko, na co ją stać na terenie kształcenia i wychowania", ale za to „to, co dom daje, jest tylko tym, na co się może zdobyć w wyjątkowych wypadkach". O ile więc niejasne sformułowanie tego zdania pozwala nam zrozumieć intencję autora, dom niewiele ma do dania... ale komu: szkole czy dziecku?

Z zastrzeżeniem, że istnieją rzadkie wyjątki, autor jest na ogół zdania,

że dom jest czynnikiem, jeśli już nie ujemnym wychowawczo, to w każdym razie mało wartościowym.

I z tego bardzo pochopnego uogólnienia wysuwa odrazu jako wniosek dwie alternatywy: „skoro dom nie dorasta zasadniczo do dobrze dopasowanej współpracy ze szkołą", to albo: 1) „trzeba go podnieść do niej", albo 2) „przejść do porządku nad współpracą fikcyjną"... mieć odwagę powiedzieć, że rodzice nie mają czego szukać na terenie szkoły". (Podkreślenie moje).

Autor jest, jak się okazuje, całkowicie za drugą alternatywą; pierwsza bowiem zmuszałaby nauczyciela do pracy uświadamiającej dom, a praca ta, jego zdaniem, byłaby syzyfowa, jako że miałby on do czynienia „prawie z analfabetami" w dziedzinie wychowania.

Więc autor jest wręcz za zlikwidowaniem „butwiejącej od zarania organizacji patronatów".

A jeśli już rodzice mają ochotę „coś robić dla dzieci swoich, czy cudzych". to niech sobie to robią „w łamach własnej organizacji, pracującej nie kosztem (podkr. moje) szkoły".

Myśmy dotychczas raczej o tym wiedzieli, że to właśnie kosztem ofiarności uświadomionych społecznie i wyrobionych obywatelsko rodziców, pracujących w Kołach i Patronatach, szkoły uzupełniają te braki i niedobory w swoim wyposażeniu, na jakie je skazuje ogólna ciężka sytuacja ekonomiczna. Więc „koszty", jakie miałaby ponosić szkoła, dopuszczając rodziców do współpracy, nie są takim znowu wkładem jednostronnym, a istnieje co najmniej wzajemność usług.

Tymczasem autor wręcz zachęca szkołę, aby się „broniła przed bezużyteczną współpracą rodziców"! Czy naprawdę, biorąc pod uwagę to, cośmy stwierdzili powyżej, współpraca ta jest tak zupełnie bezużyteczna?

I dlaczego aż „bronić się"? Dlatego, że — zdaniem autora — wraz z rodzicami przesiąkają do szkoły „niepożądane wpływy", których podłożem jest interesowność rodziców, chęć ratowania za wszelką cenę beznadziejnej nieraz sytuacji własnego dziecka, i to w drodze „szukania wpływów u władz, anonimów, gróźb, szantaży"!

Tak, te rzeczy istnieją i są naprawdę hańbą, są plagą szkół i nauczycielstwa. Ale to są grzechy jednostek. I te jednostki uciekałyby się do podobnych środków w równej mierze, gdyby nawet nie istniały organizacje rodzicielskie. I przeciwnie, organizacje rodzicielskie powinny wziąć do serca słuszne żale licznych szkół na prywatę rodziców i wystąpić do otwartej, bezwzględnej i nieubłaganej z nią walki, a któż lepiej to uczyni, jeśli nie właśnie opinia zorganizowanych i solidarnie działających rodziców?

Tak przez uogólnienie win jednostkowych potępiwszy ogół rodzicielski, autor zadaje sobie takie pytanie: „Czy to ma sens, ażeby organizowali się ci, którzy nie umieją przeprowadzić prac wychowawczych bez inicjatywy i bez zasadniczej pomocy nauczyciela"? I więcej jeszcze: „Czy to

jest sprawiedliwe, żeby pewnymi osiągnięciami wychowawczymi dzieliła się szkoła z ignorantami?"

Oczywiście, autor ma na to odpowiedź kategorycznie przeczącą. A tymczasem, oczywistą jest rzeczą, że oba te pytania aż krzyczą o wielkie, bezwzględne „tak". Tak, to ma sens, żeby ci, którzy nie umieją przeprowadzać pracy wychowawczej, organizowali się, aby się tej pracy nauczyć i jeśli pod kierunkiem nauczyciela pracę tę przeprowadzić potrafią, prosty stąd wniosek, że współpraca z nauczycielem będzie i dla nich i dla ich dzieci ze wszech miar korzystna.

Tak, to jest nie tylko sprawiedliwe, ale i konieczne, żeby szkoła dzieliła się swymi osiągnięciami wychowawczymi z ignorantami, żeby uzyskała wpływ na nich, żeby stała się ośrodkiem promieniowania kultury wychowawczej na całe społeczeństwo.

To stanowi jedno z zadań szkoły, i w dodatku jedno z najważniejszych, a inna już rzecz, czy jest ono łatwe do wykonania ,i czy w obecnych warunkach szkoła ma czas i możność jemu podołać.

I tu przechodzimy do sedna zagadnienia, do jądra zapalnego, które specyficznym jadem zajątrzyło cały artykuł, do trzeciego pytania, jakie sobie stawia autor: ,,Czy słuszne jest... żeby nauczyciel, na którym spoczywa ogromny i niekończący się obowiązek pracy naukowej, nauczania oraz wychowywania uczniów, uczył nadto i wychowywał rodziców, zubożając podstawy zasobów swej energii"?

Otóż w tym właśnie leży trudność. Nauczyciel, który jest i tak ponad siły przeciążony, którego praca wymaga bezgranicznej ofiarności i nieustannego napięcia nerwów, nie ma już czasu i sił na kształcenie rodziców. Na kongresie Ligi Nowego Wychowania w Cheltenham, Sekcja Współpracy Domu i Szkoły, jako jeden z postulatów tej współpracy, wysunęła to właśnie, żeby nauczycielowi zapewniono czas i możność intensywniejszej współpracy z rodzicami.

I w imię tej potrzeby, jeśli kto, to właśnie zorganizowani rodzice jako przedstawiciele społeczeństwa winni wytworzyć silny nacisk opinii w tym kierunku, aby dać nauczycielowi możność realizacji tego podstawowego dla jego pracy wychowawczej zadania, bez współpracy bowiem z rozumnym i uświadomionym domem szkoła nie będzie mogła spełnić tych zadań wychowawczych, jakie sobie dziś stawia.

Więc nie to jest najważniejszym złem, że według autora artykułu Patronaty stają się domeną „niepożądanych wpływów", bo to są grzechy warcholskich jednostek rodzicielskich, które właśnie Patronaty najlepiej mogłyby ukrócić, i nie we współpracy domu ze szkołą leży niebezpieczeństwo obalania ładu szkoły jako instytucji, któremu to dążeniu autor artykułu w swym rozgoryczeniu insynuuje, rzecz śmieszna, nawet posmak komunistyczny, a zło leży w tym, że współpraca domu i szkoły nie może

się należycie rozwijać, bo szkoła wprawdzie wymaga od rodziców świadczeń i wysiłków w dziedzinie humanitarnej, ale za to nie ma czasu i możności dać im tego, co mogłaby dać, gdyby współpraca domu i szkoły była przewidziana w programie nie tylko jako postulat ideologiczny, ale jako konkretna i integralna część tego programu, przewidująca odpowiednie godziny na rozmowę z rodzicami, kursy dla rodziców i tp.

I dlatego artykuł p. Chirowskiego, destrukcyjny w założeniu, przykry i obraźliwy w tonie dla rodziców, może stać się wbrew intencjom autora bodźcem do lepszego i bardziej świadomego zjednoczenia wysiłków wszystkich zespołów rodzicielskich w dążeniu do coraz pełniejszej, coraz intensywniejszej i naprawdę obustronnej współpracy domu i szkoły .

Janina Buchholtzowa.

Czy matka powinna się poświęcać?

— „Kobieta mająca dzieci nie powinna pracować zawodowo" — mówi mąż.

— „Że też się tobie chce chodzić do teatru, na koncerty, przyjmować gości, gdy się przez cały dzień namęczysz z dziećmi" — dziwi się bezdzietna przyjaciółka.

— „Za moich czasów matka wyjeżdżała na odpoczynek tylko razem z rodziną i nawet jej na myśl nie przyszło, żeby samej sobie urządzać jakieś wakacje w górach czy nad morzem" — gorszy się teściowa na wiadomość, że jej synowa wybiera się na parę tygodni do Zakopanego bez męża i dzieci.

A może, może oni wszyscy mają rację? Matka nie powinna żyć własnym życiem, nie powinna niczego dla siebie wymagać, za to dzieci i mąż, i rodzina, i dom wymagają od niej poświęcenia. Może tak właśnie być powinno?

To nic, że dano jej odpowiednie wykształcenie, że przygotowała się do zawodowej pracy, że się do niej przywiązała i spełniała ją nie tylko z pożytkiem, ale i z wielkim zadowoleniem osobistym. Zostając matką powinna jej się wyrzec.

To nic, że zdrowie jej i nerwy są nadszarpnięte żmudną, codzienną, domową pracą, pielęgnowaniem dziecka bez niańki i bony, często bez stałej służącej, ona nie ma prawa wyjechać na parę tygodni, by nabrać sił i zdrowia, dać wypoczynek nerwom, zostawiając dom i dziecko pod jakąś dobrą opieką.

To nic, że czuje jak z każdym dniem w tym ciągłym dreptaniu po domu, spacerach z dziećmi, odprowadzaniu ich do szkoły i do domu, przygotowywaniu dla nich posiłków i odrabianiu lekcyj, odchodzi coraz bardziej od życia, jak się zacofuje pod względem intelektualnym, jak ma coraz mniej pragnień i zainteresowań, i zdając sobie z tego sprawę, chce mieć choć kilka godzin dla siebie, by poczytać, pójść do teatru, na koncert, na wystawę, porozmawiać z ludźmi. Nie ma prawa — jest matką, winna się poświęcić. W imię czego? Czy w imię dobra dzieci? Bynajmniej. Jej dzieci tego poświęcenia nie potrzebują, one go nawet nie chcą; wtedy, gdy już mogą je zrozumieć, ono jest dla ich wychowania szkodliwe. Bo ta, która z nimi obcuje najwięcej, która ma kierować nie tylko ich pierwszymi krokami, ale ich duchowym rozwojem, która ma im dać najlepsze przygotowanie do życia, musi być pełnym człowiekiem, mającym swoje potrzeby, wymagania, zainteresowania, musi sama brać żywy udział w tym życiu, musi je rozumieć we wszystkich zmiennych jego przejawach.

Jeśli jest rozumna, potrafi pogodzić zaspokojenie własnych potrzeb i zainteresowań z obowiązkiem matki, potrafi odpowiednio rozłożyć swój czas tak,

aby ani jej ani dzieciom nie działa się krzywda, ale wyraz „poświęcenie" wymaże ze swego słownika. I dorastająca córka nie będzie od niej słyszała: „Wszystko dla ciebie poświęciłam, wszystkiego się wyrzekłam, a ty tak mi za to odpłacasz," i nie powie ani nie pomyśli: „po co, przecież cię o to, matko, nie prosiłam, przecież to było zbyteczne".

Bo po co matka miała wyrzekać się ukochanej pracy zawodowej, jeśli umiała ją pogodzić z obowiązkami żony i matki?

Jakby to było miło, gdyby syn i córka po powrocie ze szkoły prowadzili z matką przy obiedzie rozmowę także o pracy matki, wypytywali ją o ciekawsze momenty z przepracowanego przedpołudnia, a ona znów o ich pracę szkolną, byłoby to o wiele ciekawsze, niż wiadomości o codziennych kłopotach z obiadem, ze sprzątaniem, ze służącą.

Dlaczegóżby ich matka nie miała iść do teatru, na koncert, na wystawę, do kina? Ileż znów sposobności do ciekawej rozmowy, wymiany zdań. A potem może by i starsze dzieci z sobą zabrała, przekonawszy się, że nie każda nowoczesna sztuka teatralna jest niemoralna, a kino nie jest jedynie źródłem zgorszenia.

Niechby sobie mamusia poszła z wizytą, wyjechała na parę tygodni, wróciłaby pewnie weselsza, pogodniejsza, jakby młodsza, bliższa swoim dzieciom.

Nie tak, jak ta matka Jurka czy Heli, która im nie pozwala na żadną pracę społeczną, bo sama nic o niej nie wie, a nasza mamusia traktuje poważnie i nasz samorząd i harcerstwo, bo sama zawsze znajdzie czas, by do organizacji, do której należy, wnieść sumienną pracę i poważnie się do swych obowiązków ustosunkować.

— „Nie poświęciłaś się dla nas matko, zostałaś sobą, żyłaś swoim życiem, ale spełniłaś swój względem nas obowiązek, byłaś nam przyjaciółką, towarzyszką, nauczyłaś nas rozumieć życie, bo w nim tkwiłaś, a my cię kochamy i szanujemy i nie jesteś nam obca i daleka, choć już dorośliśmy i własne zaczynamy życie".

Myślę, że może się tego doczekać matka, która się nie „poświęciła", a tamta, która siebie samą i swoje ludzkie prawa w imię dobra własnych dzieci zagubiła, może ze smutkiem patrzeć, jak one odchodzą od niej, a ona zostaje samotna, rozpamiętywując własną, niepotrzebną ofiarę.

Zofia Iwaszkiewiczowa.

GŁOSY WYCHOWAWCÓW.

Współpraca domu w realizacji programu liceum ogólno-kształcącego.

(Uwagi na marginesie książki B. Suchodolskiego „Liceum ogólno-kształcące" Ks.-Atlas 1938 r. str. 56, zł. 1.20).

Wśród wielu osób przyjął się nie pogłębiony rzetelną obserwacją pogląd, że „nic nowego" właściwie nie ma w tych t. zw. liceach. Przenicowano trochę dwie najwyższe klasy gimnazjum — i tyle. Zaczęto sarkać na młodziutką formę szkoły, na przeciążenie młodzieży pracą w liceach i inne bolączki wynikające rzekomo z wprowadzenia „nadbudówki" szkoły średniej. Prasa sensacyjna, brukowa i niekiedy — dzienniki poważniejsze — w sposób nieodpowiedzialny wytwarzają atmosferę niezadowolenia z liceum. Są to niezdrowe sugestie, którym się należy ostro przeciwstawić, tym bardziej, że i młodzież bierze gazętę do ręki, czyta jałowe wywody domorosłych krytyków szkoły.

Studium B. Suchodolskiego przeznaczone głównie dla zespołów rodzicielskich jest podstawą orientacyjną w zagadnieniach wychowawczych, dydaktycznych i organizacyjnych liceum ogólnokształącego. W toku czytania tej wartościowej książki głowiłem się nad sprawą udziału rodziców w realizowaniu zadań, które liceum wzięło na swe barki. Przypuszczam, że wstępnym krokiem jest dobre poznanie programu, a przynajmniej studium B. Suchodolskiego. Trzeba sobie wytworzyć skrystalizowany pogląd na rolę, jaką mają odegrać licea ogólnokształcące, co powinno być jednym z zadań zebrań rodzicielskich. Z doświadczenia, ze styczności z zespołami rodziców wiem, jak rozległa i bogata jest skala ich zainteresowań. Ujmują problemy z dużą dozą rzeczywistości, dadzą w wielu wypadkach ciekawy materiał do rozważań radzie pedagogicznej. Szczególnie, w pierwszych latach — w okresie prób przypadkowych i celowych doświadczeń — rodzice zorientowani w zasadach liceum, bogaci w obserwację nad własnym dzieckiem przyczynią się do wyjaśnienia niejednej trudności i do rozwiązania różnorodnych zagadnień, nie tylko tych, które odnoszą się do współpracy między szkołą-liceum a domem.

Zadawanie różnie się przedstawia w liceum i gimnazjum. Yoakam, prof. amerykański, analizuje szczegółowo tę sprawę w książce p. t. „Ulepszanie zadawania szkolnego". Ponieważ na stopniu licealnym istnieje „samodzielna praca ucznia" o szerszym zasięgu materiału i pomysłowości, trzeba na organizację domowych zajęć liceanta szczególną zwrócić uwagę. I znowu nie można patrzeć na dorastające dziecko jako na uczonego, badacza, co odkrywa nie wiem jakie problemy. Widzenie w liceancie uczonego w miniaturze opiera się na błędnym pojmowaniu „samodzielnej pracy". Jest to w gruncie rzeczy robota na pewien okres czasu, a nie na godzinę, jednak nie polega ona na wynalazczości, tylko na solidnym metodycznym potraktowaniu sprawy i opanowaniu zasadniczych momentów. Liceant winien wykazać zdolność ujęcia kompleksu zagadnień, dotarcia do ich jądra, nie możemy natomiast liczyć na jakieś pomysłowe szukanie problemu. Właśnie należy w zarodku łagodnie likwidować ową pseudouczoną pozycję liceanta, może się bowiem łatwo wytworzyć mania badacza, poza odkrywcy; to przekreśliłoby samokrytykę i poczucie własnej istotnej wartości. O nic łatwiej u młodzieży jak o fanfaronadę. Z postawą skromności trzeba podchodzić do wielkich spraw, jeśli się szczerze pragnie ich zrozumienia i pogłębienia.

Jeśli kto z rodziców bliżej pragnie poznać organizację pracy dziecka, winien prześledzić program licealny, zwracając szczególną uwagę na zagadnienia zasadnicze, bezwzględnie obowiązujące każdego ucznia w jakimkolwiek środowisku — miasteczkowym czy wielkomiejskim. Poza podstawowymi problemami dostrzeże tematy obliczone na głębsze zainteresowania, ruchliwsze środowisko, lepsze warunki pracy, silniejszą inteligencję ucznia. I tu jest miejsce na ambicję rodziców i dziecka, powiem nawet i całej rodziny. Zagadnieniowy układ programu pozwala na rozwinięcie inicjatywy, wyładowanie inteligencji, poszerzenie dowolne wiadomości. I jeszcze jedno: w trakcie czytania programu zwrócimy zapewne uwagę na jedną charakterystyczną rzecz — na żywotność, aktualność ciągłą spraw, które porusza. Przypuszczam, że znajdą się rodziny, w których wytworzy się zainteresowanie dla samych zagadnień przerabianych przez ucznia w domu. Nawet tak w wielu wypadkach powinno być. Rodzice, często rodzeństwo, żywo zajmują się sprawami i bolączkami ucznia. To zaciekawienie jest w pewnych momentach przewrażliwieniem i narzekaniem na przeciążenie. Lepiej będzie, gdy bliżej wejdą w zagadnienie i swym zapałem pociągną liceanta.

Przygotowanie nie odgrywa tu zasadniczej roli. Doskonale można filozofować z chłopem czy robotnikiem. Wiele tematów licealnych z różnych przedmio-

tów zainteresuje rodziców zależnie od ich zawodu, oczytania, czy innych momentów. Czy na tej podstawie nie rozwinie się głębsze współdziałanie między rodzicami i nauczycielstwem, oraz czy w ten sposób liceum nie stanie się i dla uczniów i dla rodzin czymś bliskim: — czynnikiem głębszych zainteresowań ogólnych? Jest to tym realniejsza możliwość, że program licealny nie uznaje t. zw. szufladkowania zarówno wśród całokształtu przedmiotów jak i w obrębie każdego przedmiotu z osobna. Tak np. jeśli chodzi o język polski „program pod kreśla realistyczno-całostkowy charakter pracy i nakazuje poznać czytane dzieła wszechstronnie, uświadamiając — współzależność życia i literatury oraz wewnętrzną łączność treści ideowej z jej artystycznym i językowym wyrazem". Mam wrażenie, iż szczególnie w zakresie „zagadnień życia współczesnego", jako przedmiotu koordynującego wszystkie inne wraz z światopoglądem dorastającego dziecka, może rozwinąć się żywe zainteresowanie całej rodziny. Rodzice są doświadczeni, dużo widzieli podczas wojny i później, mają na wiele spraw charakterystyczny pogląd, zatem jest szeroka platforma rozmowy, dyskusji, wzajemnego pogłębiania zagadnień. Ale też nie można przepajać dziecka jakimś jednostronnym światopoglądem politycznym, czy innym, a trzeba szerzej i głębiej zagadnienie brać, coś przeczytać nawet z tego działu, który obowiązuje liceanta. Tu nasuwa się sprawa przykra: chodzi o nowości wydawnicze. Liceum wśród wielu zadań postanowiło rozwikłać kwestię czytelnictwa uczniów. Dotychczas dziecko w ślad za dorosłym chwyta pierwszą lepszą sensację, syci się nieraz makabrycznymi historiami, wogóle czyta bezładnie jak ludzie dojrzali. Należałoby jakoś planowo czytać, brać książki od strony zagadnieniowej i wytwarzać twórczą atmosferę czytelnictwa.

Na zakończenie zaakcentuję ważność stworzenia dla liceanta dobrego warsztatu pracy w domu czy na stancji. Uczeń musi mieć ciszę i własne sprzęty na książki, własny stolik, poprostu biurko, przy którym może regularnie pracować samodzielnie. Idea „samodzielnej pracy" przepajająca program licealny stanie się wtedy bardziej rzeczywista.

mgr. Józef Czarnecki.

Na marginesie współpracy domu ze szkołą.

Zagadnienie współpracy domu ze szkołą zaczyna coraz bardziej interesować szerszy ogół, czego dowodem są pojawiające się w prasie artykuły dyskusyjne na ten temat. Dzieje się tak czy to dla tego, że rodzice stają bezradni wobec potęgującego się indywidualizmu swoich dzieci (co nie zawsze wychodzi im na korzyść) czy to, że szkoła, żądając zachowania pewnych określonych przepisów, napotyka na poważne trudności i musi wkraczać w dziedzinę wychowania raczej domowego — dość, że potrzebę zbliżenia się domu i szkoły odczuwa się coraz silniej.

Przed kilku laty pisałam o tym zagadnieniu z punktu widzenia jakby teoretycznego, dziś pragnę dać kilka konkretnych przykładów tej współpracy na terenie szkoły.

Najbardziej wskazaną formą pracy rodziców w szkole jest powołanie do życia w każdej klasie t. zw. patronatów, obejmujących w zasadzie wszystkich rodziców danej klasy — w praktyce zaś choć grupę osób dobrej woli. Rodzice ci muszą rozumieć, że życie dziecka w gromadzie szkolnej wymaga koniecznie poznania środowiska, z którego rekrutują się koledzy i koleżanki ich dzieci, zetknięcia się z nimi choćby tylko w formie wymiany myśli, dotyczących zjawisk życia codziennego, z jakimi jego dziecko styka się w szkole za pośred-

nictwem tych właśnie towarzyszy czy towarzyszek pracy. Różnorodne jest przecież środowisko klasy, a dziecko pół dnia spędzając w szkole przez 6 lub 8 lat wrasta poniekąd w to różnolite środowisko, wchłania z niego dobre i złe wpływy. Czyż więc słuszną jest rzeczą, by je wchłaniało zupełnie bez wiedzy i kontroli rodziców, bez ich przeciwdziałania w razie, jeżeli te wpływy są ujemne. Często dopiero na zebraniach patronatu orientuje się matka, że Basia, do której tak lubi chodzić jej córka, korzysta w domu z zupełnej swobody, gdyż matka ma dużo zajęć społecznych, a daje dziecku dość pieniędzy by mogło się rozerwać, zabierając ze sobą biedniejszą koleżankę do kina. Przy tym dziewczynki tak dobrze umieją się zakonspirować, że biedna matka dopiero na skutek złych ocen swej pociechy zaczyna się przeciwstawiać jej częstym koleżeńskim wizytom. Gdyby na zebraniu zobaczyła wyzywająco ubraną matkę Basi, może wcześniej zapobiegłaby niewłaściwej przyjaźni, która napewno raczej szkodę córce przynosi, niż pożytek.

Gdy się mówi na takim zebraniu o rozrywkach młodzieży, to można usłyszeć z niejednych ust, że trzeba córce doradzić, by zdjęła tarczę i zamiast beretu włożyła modny kepelusz, bo inaczej całe popołudnie będzie zmarnowane, gdyż mogą trafić na film dla młodzieży niedozwolony, chociaż nic w nim złego nie ma. Gdy mowa o czytelnictwie młodzieży jedna matka chwali się, że każe córce najpierw przeczytać wypożyczoną z czytelni książkę, aby wiedzieć czy warto ją czytać, inna martwi się, że prenumeruje dla swych dzieci tylko jedno pismo bo na więcej jej nie stać, a przecież muszą mieć godziwą rozrywkę. Gdy się posłucha takich czy innych głosów, pożyteczną jest rzeczą dla dobra całej klasy wyjaśnić, jak na to czy inne zagadnienie z punktu widzenia wychowawczego rodzice reagować powinni i stworzyć obowiązującą dla ogółu rodziców atmosferę moralną danej klasy, bo tu przecież chodzi o charaktery ich dzieci, o ich przyszłe szczęście. I tu zarząd patronatu ma wdzięczne pole do działania, by zebranie należycie przygotować, poruszyć bolączki klasowe, o których się zwykle mówi zaraz po zebraniu, gdy nikomu to już nie jest potrzebne. Gdy w klasie znajdzie się matka pełna inicjatywy i twórczej woli, napewno potrafi wywrzeć swój wpływ na ogół matek, które albo z przekonania, albo przynajmniej ze wstydu podporządkują się mądrym i przemyślanym dyrektywom. Znikną wtedy cienkie jedwabne pończochy przy brudnej lub podartej bieliźnie, miejsce loków i wałeczków u dwunastoletnich lalek zajmą związane kokardą warkocze i szkoła przybierze wygląd uczelni a nie salonu.

Każda z matek ma większe lub mniejsze trudności w wychowaniu swych dzieci, to też próby takiego czy innego rozwiązania trudności zbliżyłyby niejedne matki, a te z nich, które mają przygotowanie psychologiczne czy pedagogiczne, swymi wskazówkami i radami otworzyłyby innym, mniej naukowo przygotowanym do swej roli wychowawczej, oczy na niebezpieczeństwa wynikające z wadliwego pojmowania przez nie miłości macierzyńskiej i potrzeb dziecka.

Dyskusja na zebraniu powinnaby się toczyć w obecności wychowawczyni, która obserwując 40 różnorodnych charakterów ma pewne ustalone opinie o poszczególnych dziewczynkach na podstawie ich pracy lekcyjnej, ich swobodnych wypowiedzi na godzinach wychowawczych, wreszcie ich zachowania się na pauzach, grach i zabawach. Wszak rodzice widzą tylko jedno swoje dziecko w atmosferze własnego domu, nie znają jego sposobu współżycia w gromadzie, nie wiedzą, że jego indywidualność inaczej zarysowuje się w szkole, niż w domu. Dzięki takiej właśnie wymianie myśli na zebraniu wszechstronniej mogliby poznać własne dziecko.

Ale współpraca rodzicielska może mieć i inny aspekt. Gdy przygotowuje się zabawa szkolna i wszystkie trudy z tym związane ponoszą rodzice, ileż ciekawych spostrzeżeń ze środowiska rodzicielskiego nastręcza się wychowawcy. Jedna matka na zebraniu mówi tak pięknie o potrzebie pracy społecznej, należy do tylu różnych instytucyj, jest tak zajęta, że tutaj już dużo czasu poświęcić nie może, ale chętnie dołoży swą skromną cegiełkę. W rzeczywistości ta właśnie matka do niczego ręki nie przyłoży, bo na jedno zebranie przyszła, gdy wszyscy się rozchodzili, na drugim nie była wcale, ale za to potem skrytykowała wszystko dokumentnie, składając tę krytykę naturalnie w ręce wychowawczyni wobec swego dziecka, które zasmucone i zawstydzone spoglądało tylko bezradnie wielkimi oczami na swoją panią i powtarzało: „ależ, mamusiu, to nie tak było." Okazuje się bowiem, że mamusia od jednej matki coś nie coś usłyszała, odpowiednio ubarwiła i ma gotowy argument, że nie będzie przecież narażała się na takie skutki obcowania z innymi matkami.

Ale na szczęście są i inne obrazki. Na zebranie przychodzi około 20 matek, aby omówić nadchodzącą zabawę karnawałową. Wspólnie z wychowawczynią naradzają się czym umilić zabawę, co by jeszcze zaofiarować z domowych zapasów poza obowiązującą składką. W godzinę jest już gotowa cała litania smakołyków, wynotowane co każda z pań zobowiązuje się przynieść, rozebrano kolejne dyżury, a w dzień zabawy uwijają się kochane mamusie przygotowując od samego rana kanapki, potem stroją stoły, ściany. Gdy wszystko gotowe, zrzucają robocze fartuszki i z radością przyglądają się swoim pociechom, nie obawiając się, że swoją obecnością popsują dzieciom zabawę, a to jest przecie pierwszy bal z chłopcami, więc niejednej Basi czy Zosi bije serduszko z niepokoju, czy zaproszony chłopiec dopisze, czy muzyka się nie spóźni, czy się będzie dobrze bawiła i tyle, tyle różnych pytań ciśnie się jej do głowy.

Opieka materialna nad niezamożną młodzieżą to najważniejsza dziedzina współpracy domu ze szkołą a jakże trudna i odpowiedzialna. Dojrzeć prawdziwą potrzebę dziecka i umiejętnie przyjść mu z pomocą tak, by nie upokorzyć jego rodziców to zadanie szczytne i może być rozwiązane tylko przez gorąco czujące serce innej matki.

Jakże bardzo wiąże uczuciowo z klasą swojego dziecka odwiedzanie domów kilku najbiedniejszych koleżanek, pogwarzenie z matkami o troskach i niedolach ich życia, przygarniając jakby te pokrzywdzone i upośledzone przez los jednostki do wspólnej rodziny klasowej. Po przyjrzeniu się warunkom domowym różnych dzieci o ile łatwiej wytłumaczyć swoim niepotrzebne zachcianki, stawiając za przykład te właśnie dzieci, które będąc w tak skromnych a nawet ciężkich warunkach, garną się do nauki, rozumiejąc wielkie jej wartości.

Jak widać z tych kilku dorywczych uwag, planowa i przemyślana współpraca domu ze szkołą mogłaby dać jednej i drugiej instytucji bardzo wiele. Rodzice przeczytawszy wspólnie choćby jeden z przytoczonych w tym piśmie artykułów dyskusyjnych sprawdziliby, jak to czy inne zagadnienie jest lub powinno być rozwiązane w ich klasie. Wychowawczyni przysłuchując się dyskusji lepiej może zrozumiałaby wady lub zalety tego czy innego dziecka i nieraz okazałaby mu bardziej skuteczną pomoc, niż to może uczynić dzisiaj nie znając prawie zupełnie środowiska rodzicielskiego swej klasy. Dziecko wiedząc, że matka interesuje się życiem szkoły i bierze w nim czynny udział, inaczej ustosunkowałoby się do zarządzeń i przepisów szkoły. Zebranie zaś rodziców raz na miesiąc nie byłoby zbyt wielkim obciążeniem dla nikogo, ale skuteczność jego zawisła od: 1) obecności jeżeli nie wszystkich to większej ilości rodziców danej klasy, 2) należytego przygotowania treści zebrania przez Zarząd patro-

natu, 3) takiego nastawienia rodziców, by nie tylko biernie wysłuchali artykułu czy referatu, lecz istotnie chcieli omawiać obchodzące ich sprawy.

Wielki czas już bowiem zwrócić baczniejszą uwagę na takie uchybienia dzisiejszej młodzieży jak: niekarność, nieporządek, brak odpowiedzialności, lekceważenie przepisów i zarządzeń, brak poszanowania swojej i cudzej własności, lekkomyślność, brak szacunku dla starszych, które to wady łatwo mogą wejść w nałóg i obniżyć w niedalekiej przyszłości normalny poziom rodziny.

Komu więc nie obcą jest troska o moralną wartość wychowujących się jednostek, niech się przyczyni do organizowania i należytego prowadzenia patronatów rodzicielskich — najlepszej formy współpracy domu ze szkołą.

E. S.

GŁOSY RODZICÓW.

„Z obu stron okienka".

Pewien pedagog, uważając iż rozwój tak umysłowy jak i fizyczny jego dziecka kwalifikuje je do drugiej klasy szkoły powszechnej, zwraca się w tej sprawie do kierowniczki jednej z prywatnych szkół powszechnych. Kierowniczka po dwudniowej obserwacji dziecka w szkole w klasie I-ej potwierdza opinię ojca, lecz oświadcza, iż zapisać dziecka do klasy II-ej na przyszły rok szkolny nie może, bo dziecko jest o 4 miesiące za młode (urodziło się w grudniu, a nie przed 1-ym września), chyba że uzyska się na to pozwolenie wizytatorki N. N. Ojciec zwraca się do tej ostatniej. Pani wizytatorka bezapelacyjnie oświadcza, iż sprawy m e r y t o r y c z n i e rozpatrywać nie będzie, bo ustawa żadnych wyjątków nie dopuszcza i dziecko może być zapisane w przyszłym roku szkolnym jedynie do I-ej klasy. Ojciec uważa, iż decyzja taka nie jest słuszna. Zwraca się więc z odpowiednim podaniem do kuratorium, dołączając świadectwo lekarskie, orzekające, że rozwój fizyczny dziecka odpowiada normom dziecka 8-letniego. Na podanie to nadchodzi z kuratorium pisemna odmowa bo „wiek dziecka nie odpowiada p. 2 art. 7 ustawy z dn. 11 marca 1932 r. o ustroju szkolnictwa". Wówczas ojciec zwraca się osobiście do Ministerstwa W. R. i O. P. w sprawie interpretacji ustawy. Rozmawia z wizytatorem N. N., który informuje, że choć może z pedagogicznego punktu widzenia motywy ojca są słuszne, jednak sprawa jest b e z n a d z i e j n a i prawdopodobnie na podanie skierowane do p. Ministra W. R. i O. P. otrzyma on odpowiedź odmowną, przy czym sprawa znów nie będzie prawdopodobnie rozpatrywana merytorycznie.

Nie przesądzając samej sprawy, należy stwierdzić, iż sposób jej załatwiania wydaje się być niczym nie umotywowany. Czyż można tak bezapelacyjnie, nie biorąc pod uwagę opinii kierowniczki szkoły, lekarza i... ojca pedagoga, ferować wyrok na dziecko, którego się nawet nie widziało, opierając się li tylko na odpowiednim paragrafie ustawy. A jeżeli dziecko jest wyjątkowe, o wybitnych zdolnościach, wykraczających znacznie ponad poziom dzieci jego wieku? Czyż ukończenie przez taką jednostkę szkoły powszechnej, gimnazjum, liceum a potym np. uniwersytetu o rok wcześniej, niż to przewiduje ustawa, należy uważać za szkodliwe dla Państwa? Dlaczego? Nasza ustawa konstytucyjna z dn. 23 marca 1936 r. stwierdza w artykule 5 że: „Twórczość jednostki jest dźwignią życia zbiorowego". A więc wydawałoby się, iż nie należy jednostkom zdolniejszym utrudniać możności wcześniejszego przystąpienia do pracy twórczej. Poruszone tu zagadnienie wymagałoby głębszego zastanowienia z punktu widzenia bardziej życiowego. *Dr Witold Majewski.*

O grzeczności.

Pani A. C. z Warszawy pisze:

W ciągu bieżących wakacji pewien tygodnik wszczął dyskusję, którą następnie podniosły niektóre dzienniki, na temat czy należy dziecko przyuczać do różnych form grzeczności towarzyskiej. Niestety, nie mam pod ręką wycinków tych pism, i nie chciałabym źle cytować argumentów, jakimi się posługiwano w tej dyskusji. W każdym razie, przeważały głosy, że dziecka nie należy „tresować" żeby mówiło „dzień dobry", dziękuję" itp., gdyż to psuje jego bezpośredniość, przyucza do hipokryzji itp.

Zapewne, jeśli uczenie form uprzejmości jest t r e s u r ą, taka wytresowana uprzejmość wzbudza niechęć dziecka; będzie powtarzało wyuczone formułki niechętnie i nieszczerze, albo stanie się martwym „dobrze wychowanym' automatem. Nie wiem, kto powiedział, że formy uprzejmości są namiastką dobrego serca, ale słuszna to uwaga.

Trudno bez tych form się obejść we współżyciu, i nie będzie się dobrze czuł w towarzystwie człowiek, który tak nimi nie przesiąknął, że odruchowo dysponuje dobrymi formami, i nie musi się dopiero zastanawiać przy każdej okazji, jak wypada postąpić, słowem człowiek, który nie nosi w sobie śladów tego, co Niemcy nazywają „eine gute Kinderstube".

Ale dobrym wychowaniem trzeba właśnie „przesiąknąć". Nie tak, żeby od święta, kiedy są goście, przyuczać dziecko do uprzejmego powitania, do podziękowania cioci za prezent, ale tak, żeby sama atmosfera domu była przepojona życzliwością, żeby rodzice dawali dziecku przykład tej właśnie uprzejmości, która jest wyrazem serca. Jak bardzo dziecku zależy na naszym „dzień dobry", na naszym pocałunku na „dobranoc"! Jeśli do takich form przywitania i pożegnania przywykło, spontanicznie zacznie je samo stosować. Jeśli my będziemy dziękowali dziecku za drobne usługi, których od niego żądamy, a które ono nam wyświadcza, to i ono nie zapomni nam podziękować, gdy mu sprawimy przyjemność.

Tylko takie wpajanie form towarzyskich jest trwałe i pedagogicznie cenne. W domu, gdzie wszyscy na siebie nawzajem „warczą" i „szczekają", gdzie uprzejmość jest tylko na pokaz i dla gości, trudno się spodziewać, żeby dziecko chętnie czyniło zadość wymaganym od niego formom towarzyskim. Formy te będą w takich warunkach tylko nienawistną tresurą i niczym innym być nie mogą.

Nasze społeczeństwo naogół nadmiarem uprzejmości nie grzeszy, i nawet w kulturalnych rodzinach zanikają coraz bardziej formy dawnego „przedwojennego" dobrego wychowania, a szkoda, bo formy te naprawdę ułatwiają życie. Podobno, gdy kto Japończyka potrąci na ulicy lub udepnie w tramwaju, ten kłania się i uśmiecha. Tego wymagają elementarne formy grzeczności, których tam przestrzega każdy, nawet tragarz portowy.

Może być, że ten uśmiech bywa nieraz tylko zautomatyzowanym grymasem, ale w każdym razie milszy jest dla otoczenia niż awantury i wymysły, jakie się u nas zazwyczaj słyszy przy podobnych okazjach. A przecież ta forma reakcji wpojona jest dziecku japońskiemu od lat najmłodszych, ale podobno, Japończycy wszystkich sfer i klas traktują dzieci zawsze z wyszukaną uprzejmością, a jeśli tak jest to tresura wykonywana u nich nie jest czymś wymuszonym i kłamliwym, a czymś co dziecko nabywa przez przykład, brany z otoczenia.

Ciekawa byłabym usłyszeć, co myślą inni rodzice w tej sprawie, i jaka jest o niej opinia psychologów i wychowawców.

PRAWDA I PLOTKA.

Liceantki w szpitalu.

Z chwilą przejścia bramy szpitalnej przez liceantki zawrzało, zakłębiło się wszerz i wzdłuż i wyrosły wielkie plotki, opowieści tak straszliwe, że słowo przesadzone jest dla nich czymś o wiele, wiele za skromnym.

Wszyscy zaczęli mówić, powołani i niepowołani, świadomi i zupełnie nieświadomi, bo to uderzyło, zelektryzowało możliwością o ile nie wyłowienia to stworzenia sensacji. Część prasy rozdmuchała skwapliwie owe „mrożące krew w żyłach" twory i fama szła i idzie daleko, budząc przestrach i trwogę w sercach nieszczęśliwych rodziców, mających córki w hufcach szkolnych.

Nie można się sprzeciwić rozporządzeniu władzy, ale budzą się wątpliwości, obawy jak ta nasza córeczka, tak skromnie chowana, zareaguje na brutalność szpitala i co to będzie, bo podobno, podobno w którejś klinice kazano jakimś liceantkom wykąpać chorego wenerycznie i w dodatku ów chory podczas kąpieli opowiadał przestraszonym dziewczynom wszystkie okoliczności swej choroby.

To jeden ze skandali, o którym fama dotarła daleko i trudno ją powstrzymać, mimo że przez władze zostało sprawdzone bardzo dokładnie, że jako fakt pewny podawane zdarzenie w ogóle nie miało miejsca. Zresztą powszechnie wiadomo, że z wyjątkiem osób naprawdę wymagających w tym kierunku pomocy, chorzy kąpią się sami, a już napewno chory na jakąś chorobę weneryczną nie jest tak ciężko chorym, żeby go ktoś musiał kąpać i to jeszcze kilka osób! Chyba, że... w szpitalach akurat umyślnie chcą się znęcać nad biednymi dziewczątkami, ale... jakoś trudno to sobie wyobrazić.

Głośna opowieść o strasznych doświadczeniach liceantek w Klinice Położniczej w Krakowie, podana przez prasę, a zupełnie wyssana z palca, niestety też cieszy się popularnością i wielu ludzi nie dałoby się napewno przekonać, że fakt ten również nie miał miejsca. Ani w Krakowie ani nigdzie indziej liceantki nie praktykują na oddziałach położniczych, gdyż nie ma to zupełnie związku z ich wykładami w hufcu ratownictwa sanitarnego i pielęgnowania rannych.

Natomiast... ale o tym nikt nie mówi, nikt o to nie alarmuje, że np. panowie studenci medycyny, bardzo skwapliwie służący liceantkom jako cicerone na terenie szpitalnym (miło być autorytetem, szczególnie przed ładną buzią!), jako na największą atrakcję zabierają dziewczęta na wykłady, na których właśnie mogą usłyszeć coś „nieodpowiedniego", czego boją się rodzice i gdzie często dla nich jako nieprzygotowanych teoria ma większy posmak sensacji, bo rozpala ciekawość, a nie budzi współczucia i miłosierdzia jak bezpośredni kontakt z chorym. Jedyną korzyść z ta-

kiej praktyki jest chyba tylko... zadowolenie profesora z licznej frekwencji słuchaczy na wykładzie.

Teoria nauk medycznych jest napewno i niewskazana i niepotrzebna dla dziewczynek z liceum i bynajmniej nie leżało w projektach władz, by uczęszczały na wykłady. Za to ćwiczenia praktyczne dają im samym nieskończenie wiele, a dla chorych stają się przyjemną atrakcją. Często chorzy mówią z zachwytem, że nikt im tak jeszcze łóżka nie posłał, ani nikt tak dokładnie i delikatnie nie umył, jak to zrobiły praktykantki z liceum. Nie ma mowy o zgorszeniu, gdy się aż dygoce z przejęcia, żeby wywiązać się dobrze z zadania i naprawdę przynieść ulgę komuś cierpiącemu.

Po doświadczeniach z tegorocznymi praktykantkami dochodzimy do wniosku, że może jednak liceantki są jeszcze zbyt mało przygotowane do „ruszania się w szpitalu". Panie kierowniczki kursów powinny obok wiadomości związanych ściśle z ratownictwem poświęcić więcej uwagi zachowaniu się w szpitalu i podejściu do chorego. Niech dziewczęta mniej korzystają z usług uprzejmych studentów, mniej mają czasu i ochoty na podkreślanie swej dorastającej kobiecości, a napewno bardziej przejmą się ludzką nędzą i nieszczęściem w tym najsmutniejszym chyba miejscu na świecie i tym mocniej zbudzi się w nich pragnienie przyniesienia choćby najmniejszej ulgi wszystkim nieszczęśliwcom, z którymi się tam zetkną bez różnicy płci i wieku. Bo jak słusznie mówi w zakończeniu swego artykułu w Nr. 6 „Rodziny i dziecka" p. dr. Szaynokowa „nie ma miejsca na niezdrową ciekawość, gdzie zaczyna się cierpienie".

Ewa L.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

KOMITET OGÓLNOPOLSKIEGO KONGRESU DZIECKA.

Warszawa, Koszykowa 19 m. 12a, tel. 8.87-77. Konto P. K. O. 4.734. Biuro czynne od godziny 12 do 19-tej.

Prezydium Komitetu ustaliło już porządek obrad Kongresu. Jego zebrania plenarne mają się odbywać w największej w Warszawie sali Domu Katolickiego przy ulicy Nowogrodzkiej 49 (kino Roma). Termin Kongresu wyznaczono na dnie 2, 3 i 4 października r. b. Pierwszy dzień. Niedziela, 2 października. Godz. 9. Msza św. w kościele katedralnym przy ul. św. Jana. Godz. 11. Otwarcie Kongresu. Godz. 11 min. 30 — 13 min. 30 referaty: 1) Dziecko i człowiek dorosły — dyr. St. Dobrowolski, 2) Dziecko i rodzina — prof. J. Cz. Babicki, 3) Prawo dziecka do szkoły — prof. H. Radlińska. Godz. 16. Otwarcie pierwszej wystawy krajowej „Dziecko w Polsce", w budynku fabryki Rohn - Zieliński, ul. Nowogrodzka 74/76. Drugi dzień. Poniedziałek, 3 października. Godz. 10 — 12 drugie zebranie plenarne z referatami: 1) Dziecko w polskim prawie rodzinnym — prof. dr St. Gołąb, 2) Zdrowie dziecka — prof. E. Godlewski, 3) Wczasy dziecka — A. Walicka - Chmielewska. Godz. 12 — 14: a) zwiedzanie instytucyj opieki nad dzieckiem, b) posiedzenie Komisji poświęconej zagadnieniu dziecka w polskim prawie rodzinnym. Godz. 16 — 19 obrady Komisyj: 1) Dziecko i człowiek dorosły; 2) Dziecko i rodzina; 3) Prawo dziecka do

szkoły; 4) Zdrowie dziecka; 5) Wczasy dziecka. Trzeci dzień. Wtorek, 4 października. Godz. 8 min. 30 — 11 min. 30 obraduje 5 Komisyj, jak w dniu 3 października, oraz Konferencja w sprawie dziecka polskiego zagranicą. Godz. 12 — 15 trzecie zebranie plenarne: 1) Dziecko jako przedmiot troski świata — prof. Wanda Wójtowicz - Grabińska; 2) Uchwały; 3) Zamknięcie obrad. Godz. 16 — 18 zwiedzanie instytucyj opieki nad dzieckiem.

Prezydium Komitetu rozesłało w końcu czerwca do wszystkich organizacyj społecznych, wchodzących w skład Komitetu, oraz do jego oddziałów wojewódzkich pismo z prośbą o sporządzenie list osób, które mają być delegowane przez te organizacje i oddziały na Kongres. Gdyby nie udało się jeszcze ustalić imiennej listy, Prezydium prosiło o podanie przynajmniej, ile osób ma przybyć z poszczególnych województw. Informacje te posłużą Komitetowi jako materiał orientacyjny do ułożenia planu uczestnictwa w Kongresie.

Od każdej osoby, delegowanej przez organizację społeczną lub przez nasz Oddział Wojewódzki, pobierana będzie opłata w wysokości 5 zł za udział w Kongresie. Obejmie ona również wejście na wystawę, zwiedzanie instytucyj społecznych i sprawozdanie z Kongresu (200 — 300 stron druku).

Przyjezdni uczestnicy Kongresu korzystać będą z 50% zniżki kolejowej.

W połowie czerwca zostały ogłoszone w prasie wyniki konkursu plastycznego p. t. „Dziecko Polskie".

Prace nagrodzone i wyróżnione można będzie oglądać w październiku na wystawie „Dziecko w Polsce".

LEKTURA DLA RODZICÓW.

Dom i szkoła. II Rocznik Patronatu IV Gimnazjum Państwowego im. A. Mickiewicza w Warszawie.

Ukazał się właśnie w estetycznej szacie barwnej okładki drugi rocznik wydawnictwa, świadczącego wymownie o żywej i intensywnej pracy Patronatu na terenie Gimnazjum im. A. Mickiewicza.

Już sama okładka ma swoją wymowę, świadczącą o duchu tej współpracy, jest bowiem wykonana według projektu jednego z uczniów tej szkoły. Sam zaś podział treści, gdzie obok działu „Mówią starsi" i działu sprawozdawczego figuruje dział „Mówią młodsi" jest dowodem, że współpraca ta rozwija się pod znakiem współdziałania z młodzieżą, co jest właśnie ideałem wszelkiej współpracy domu i szkoły.

Wiara w skuteczność i owocność tej współpracy bije z kart tej książki, i sama książka stanowi dowód, ile zdziałać może taka wiara.

A przecież nie brak tu słów szczerej i gorzkiej prawdy. Wypowiada je p. Kubiński w swoich „Kłopotach Wychowawcy", wypowiada je również i Matka Patronacka, która jasno i szczerze uwydatnia bolączki rodziców, pragnących szczerze współpracy ze szkołą, stwierdzając że nieufność i uprzedzenie ze strony nauczycielstwa nieraz tę pracę utrudnia.

Czytelnik znajdzie wśród głosów starszych bardzo trafne i rozumne uwagi p. dyr. Dadleza o podniesieniu poziomu obchodów, dalej dwa artykuły p. St. Zawirskiej - Michalskiej, dotyczące dwóch ważnych momentów życia szkolnego, sprawy ocen i psychozy przed klasówkami, oraz trafne uwagi p. Jabłońskiego o znaczeniu i wartości wycieczek szkolnych.

Dział młodszych zawiera nadzwyczaj interesujący projekt samorządu uczniowskiego, z którym powinni się zapoznać rodzice, interesujący się zagadnieniem uspołecznienia naszej młodzieży. Artykuły młodych tchną humorem, talentem, rozmachem, są naprawdę ciekawą lekturą, niejeden ojciec i niejedna matka rozrzewnią się przy nich, wspominając własne, bezpowrotne młode lata.

Dział sprawozdawczy Patronatu świadczy o szerokim zakresie jego prac i służyć może wielu innym podobnym zrzeszeniom jako przykład sprężystej organizacji.

Tylko z miłego i zabawnego zaproszenia na zabawę rodzicielską przykładu wziąć nie będzie można. Już po żałosnej pamięci skandalu łódzkim nikt nikogo nie zaprosi do szkoły z wezwaniem: „Piy y tańcz!” Trudno, ten typ zabaw się skończył, ale przecież na wzór angielski można by organizować herbatki towarzyskie dla rodziców i nauczycieli, gdzie szczerze i otwarcie rozmawiano by o bolączkach życia szkolnego i kłopotach z „naszymi dziećmi”.

Patronaty i Koła Rodzicielskie szczerze zachęcamy do nabywania tego cennego treścią, a w dodatku niedrogiego wydawnictwa. Cena 1 zł.

Waleria Hesslówna. Aś idzie. Opowiadanie z życia dzieci w wieku przedszkolnym. Kraków, Skład Główny Gebethner i Wolff.

Nasze pismo zajmuje się zagadnieniami wieku przedszkolnego, tylko o tyle, o ile są związane z dalszym rozwojem i kształtowaniem się młodocianej psychiki.

I dlatego szkice z życia dziecięcego, skreślone przez p. Hesslównę zaliczyliśmy do lektury, która może zainteresować „naszych” rodziców. Szkice te wyszły z pod pióra mądrego, wytrawnego pedagoga, umiejącego przenikliwie i głęboko wczuć się w duszę dziecka.

Nasze dzieci dawno już wyszły z wieku, kiedy się płacze na widok nowej cioci, ale ów bolesny lęk, jaki budzi nieznane, nie jest obcy żadnej duszy ludzkiej, a tymbardziej wrażliwej duszy istot młodych, ani ta równoległa z owym lękiem potrzeba, żeby właśnie poznać to, co nas niepokoi, żeby jak ów mały, zalękniony Aś wyruszyć na odkrycie nieznanego, które się czai za tamtymi drzwiami...

Autorka z duszy małego dziecka wydobyła przeżycia na pozór proste i błahe, ale już znamienne dla przyszłego kształtującego się człowieka. I już widzimy, jakimi drogami pójdzie rozwój małego Władzia, który nie lubi walki, ale który tak jest szczęśliwy, że ma trąbkę, i że może nią zatrąbić głośno. TU wobec innych dzieci, i rozumiemy niedolę samotnego Zbyszka, któremu nie wolno zejść na podwórko do innych dzieci, i który szuka pociechy w rozmowach z fikcyjną „Panią”.

I serce nam się ściska nad bezbronnością dziecięcą i krzywdami, jakie tym maleńkim wyrządzają wszechwładni starsi. Współczujemy Anulce, którą mama bije za to, że się bawiła z „tamtymi dziećmi”, i rozumiemy, dlaczego potulne dotychczas dziecko nagle nie chce przeprosić, i żal nam niewymownie tej biednej Lusi, która chowała się u baby na garnuszku i nauczyła się płakać bez krzyku.

Te piękne, z takim sercem i z taką intuicją skreślone obrazki nauczyć mogą niejednego z nas, jak patrzyć na dziecko i jak je rozumieć.

Z DOŚWIADCZEŃ LICEALNYCH.

Redakcja nasza otrzymała bardzo interesujące sprawozdanie Dyrekcji Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Stryju za rok 1937/38, zawierające między innymi zestawienie wyników pracy dydaktycznej w pierwszej klasisie liceum. Sprawozdawcy stwierdzają, że: „Sytuacja nie jest zadawalająca, nie jest jestnak zła, ani groźna, ocenić ją należy z umiarem, nie poddawać się psychozie wytwarzanej przez rozmaite nazwy dzienniki brukowe, w których autorowie, sami często żadnej szkoły nie ukończywszy, załamują ręce nad szkolnictwem współczesnym. Rok, który mamy za sobą, o jednym bądź co bądź nas poucza: stanowczo nie jest gorzej w liceum, niż w dotychczasowym gimnazjum”. I słusznie zwracają sprawozdawcy uwagę, że przecież: „Wszelkie skargi szkół wyższych na poziom szkoły średniej odnoszą się właśnie do tak gorąco bronionego gimnazjum dawnego typu: liceum jest w stadium organizacji, niejednej jeszcze zapewne ulegnie zmianie, obowiązkiem i prawem społeczeństwa w ogóle, jest baczne śledzenie tego nowego typu nowej szkoły i występowanie z krytyką twórczą — potępianie a priori jest nieobliczalnym złem”.

Dodać również należy, że Gimnazjum posiada Koło Rodzicielskie, wykazujące dużą aktywność i żywotność.

Z PRASY POLSKIEJ.

W numerze z dn. 14 sierpnia b. r. ukazał się w „Tygodniku Ilustrowanym" ważny i znamienny artykuł p. R. Kubińskiego, pod tytułem „Pożegnanie z maturą".

Autor, jak skądinąd wiemy, sam będący nauczycielem - wychowawcą, stwierdza, że maturę „potępiono w czambuł", że dokoła niej wykonali „hotentocki taniec" uczniowie, rodzice, i nawet nauczyciele.

Maturę starano się zdobyć wszelkimi sposobami, nie wyłączając nieuczciwości. Ale przerażające jest publiczne chwalenie się nieuczciwością, jakie miało miejsce, i to w dodatku za pośrednictwem radia, instytucji poważnej i odpowiedzialnej.

Oto uczeń szkoły polskiej, przemawiający na temat egzaminu maturalnego „chwalił się, że wraca dopiero co z ukończonego egzaminu, obładowany niedozwolonymi „ściągawami", podobnie jak wszyscy jego koledzy". W tonie jego przemówienia przebija „symplicystyczna radość" z podejścia „belfrów".

Ale i przedstawiciel nauczycielstwa oświadczył przy tej okazji, „że gdy widzi, że uczeń posługuje się niedozwolonymi pomocami, odwraca się".

— „To poszło w świat!" — dodaje autor. „I... — nikt nie protestował..." I trzeba przyznać słuszność jego twierdzeniu, że „zgodnie ze wschodnią etyką nie doceniamy znaczenia drobnych nieetyczności".

— „Ale to nieprawda, po stokroć nieprawda" — woła autor — „że Polacy wszyscy są tacy! Gdyby tak było, już dawno rozlecielibyśmy się jak kupa zgniłych liści".

Ale w milczeniu społeczeństwa wobec takich nieetyczności widzi autor bardzo trafnie „objaw tak samo niebezpieczny dla życia narodu, jak i pochwalanie zła. Co by np. stało się w kraju tak etycznym publicznie jak Anglia i Szwecja, pyta „gdyby państwowe radio pochwalało nieetyczne oszukiwanie państwowej szkoły i sabotowanie państwowych rozporządzeń?"

„Posypałyby się takie protesty ze wszystkich stron, że winni odczuliby to w bardzo krótkim czasie".

Ale „nagonka na niby — maturę... ma jeszcze inny aspekt społeczny, Jest to walka pewnej anarchistycznej grupy rodziców z wszelkimi nakazami władz, które to nakazy wymagałyby od ich wychuchanych pieszczoszków jakichkolwiek wysiłków, czy intensywnej pracy. Niech się świat zawali, a rozkoszne dzieciaczki muszą mieć w najwygodniejszy sposób dyplomy. Wszystkie środki dobre, byleby nie kolidowały otwarcie z prawem. Takie stanowisko rozprzęga wszelką siłę etyczną społeczeństwa, rujnuje naszą zdolność obronną wobec wroga!"

O tych słowach autora powinni rodzice pamiętać w całym swoim stosunku do szkoły. Matura minęła, ale dalsze roczniki naszej młodzieży czekają egzaminy licealne, niemniej może trudne, a przecież konieczne.

Autor przypomina na zakończenie swego artykułu, że „Anglicy małe, czy wielkie oszustwa szkolne oddają pod opiekę prokuratora, a we włoskim szkolnictwie egzamin wolno zdawać tylko przed nauczycielem, który nigdy nie uczył zdającego" i pyta: „Czy to objaw słabości, czy siły tych narodów?"

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

Szkoła dla dzieci wyjątkowo zdolnych.

„Schweizer Erziehungs Rundschau z lipca r. b. donosi o ciekawym eksperymencie pedagogicznym, przeprowadzonym przez władze oświatowe Nowego Yorku.

Nowy York liczy przeszło milion dzieci w wieku szkolnym. Na tę liczbę jest około 10.000 bardzo zdolnych. Z tej liczby wybrano 50 dzieci najzdolniejszych, w wieku 8 — 11 lat. Jeżeli przeciętny iloraz inteligencji dziecka wynosi 100, dzieci z tej grupy

wyjątkowo zdolnych mają ilorazy ponad 130, a nawet dwoje po 200, co jest faktem niespotykanym od czasu jak istnieją ilorazy inteligencji (tj. od lat 20-tu).

Wyobrażamy sobie zazwyczaj, że dziecko wybitnie zdolne bywa najczęściej wątłe, chorowite, upośledzone fizycznie. Grupa wyjątkowo zdolnych dzieci w tej szkole specjalnej składa się z dzieci zdrowych, silnych i przeważnie ładnych.

Zazwyczaj dzieci zdolne uchodzą za niemiłe we współżyciu, dzieci z tej grupy są zgodne, koleżeńskie, może właśnie dlatego, że nie czują się wyjątkami, że mają wszystkie równe szanse.

W grupie wyjątkowo zdolnych dzieci znajduje się również troje murzynów. Wbrew zakorzenionemu przesądowi, że dzieci murzyńskie zatrzymują się wcześnie w rozwoju, dzieci te nie ustępują w niczym pod względem postępów swoim białym rówieśnikom. Trzeba dodać, że szkoła ta nie ma na celu przyśpieszenia ukończenia przepisanego kursu nauk, a przeciwnie, rozwinięcie i pogłębienie jego zakresu w takim samym czasie, co dla dzieci normalnych, ze szczególnym uwzględnieniem zamiłowań i upodobań indywidualnych swoich uczniów, tak że absolwenci tej szkoły będą posiadali szerszy zakres wiadomości, niż przeciętny absolwent szkoły średniej i będą lepiej przygotowani do studiów wyższych.

O wartości świadectw szkolnych.

„Internazionale Zeitschr. für Erziehung" Zesz. III r. b. donosi o interesującej ankiecie przeprowadzonej w Szwecji (Goeteborg), a która dotyczyła dalszych losów maturzystów z lat 1865 — 1909.

Wbrew zakorzenionemu przesądowi, że dobre świadectwo szkolne nie stanowi gwarancji powodzenia w życiu, na 65-ciu uczniów o świadectwach celujących tylko jeden się wykoleił, a 75% osiągnęło bardzo wysokie stanowiska, spośród uczniów złych, przeciwnie, na 550-ciu tylko 10-ciu doszło do wysokich stanowisk. Z tych dwaj są biskupami, a jeden dyrektor przedsiębiorstwa przemysłowego.

Że również i o wyborze zawodu decyduje powodzenie szkolne, o tym świadczy fakt, że zawód inżynierów i lekarzy obierali ci uczniowie, którzy mieli najlepsze stopnie z matematyki i przyrody.

Głosy rodziców angielskich o współpracy domu i szkoły.

W zeszłorocznym sprawozdaniu z pracy angielskiego związku Współpracy Domu i Szkoły (Parent — Teacher Association) Sekretarz Związku, William B. Higgs podaje dla zilustrowania wyników tej współpracy kilka znamiennych cytat z listów rodziców do Związku.

„Dzięki pracy grupy wytworzył się duch życzliwości i współdziałania nie tylko wśród samych rodziców między sobą, ale również i pomiędzy rodzicami a nauczycielstwem".

Inny znów z rodziców z tej samej grupy pisze: „nie ma żadnych różnic klasowych na naszych zebraniach. Spotykamy się w atmosferze swobody i zaufania, a głównym tematem naszych rozmów jest praca naszych dzieci i życie szkolne".

Pewien ojciec, z grupy Związku przy pewnej szkole powszechnej pisze: „Dzięki temu, że rodzice bywają częstymi gośćmi w szkole, dzieci czują się w niej bardziej „u siebie": czują się odpowiedzialne za dobytek szkolny i związane ze szkołą więzami silnej przynależności. Zresztą, to samo poczucie odpowiedzialności za wszystko, co ze szkołą jest związane, wytworzyło się i pośród rodziców".

Pewna znów matka pisze: „Nauczyłam się rozumieć szkołę i jej potrzeby, oduczyłam się osądzania nauczycielstwa i władz szkolnych ze stanowiska osoby obcej, stojącej z zewnątrz".

Takich listów nadchodzi wciąż wiele.

Współpraca z rodzicami, pisze jeden z ojców, sprawiła, że nauczycielstwo więcej interesuje się dziś potrzebami miejscowego społeczeństwa. Zdobyło dzięki temu zbliżeniu szersze poglądy, większą wyrozumiałość.

Inny znów ojciec z Yorkshire pisze: „Dawniej, kiedy kto z nas miał jaką sprawę do wychowawcy, zgłaszał się na rozmowę, która z braku czasu bywała zawsze zbyt pobieżna i pośpieszna. To wytwarzało brak porozumienia między nauczycielstwem a rodzicami, ku krzywdzie naszych dzieci. Teraz mamy nasz Związek współpracy Domu i Szkoły i czujemy się w szkole mile widzianymi gośćmi. Staliśmy się czynnikiem potrzebnym i istotnym w życiu szkolnym.

Większość naszych rodziców, gdyby mieli się szczerze wypowiedzieć, musiałaby wyznać, że zapisując się do Związku myśleli przede wszystkim o korzyściach, jakie stąd wypłyną dla ich własnych dzieci. Kiedy jednak wniknęliśmy w prawdziwego ducha Związku, zostaliśmy wciągnięci w pracę wspólną dla zdrowia i szczęścia wszystkich dzieci. Oto ideał, który nam przyświeca, lepszego nam nie trzeba.

Praca, która doprowadza ludzi do zrozumienia tego ideału, jest niewątpliwie pracą dobrą i pożyteczną.

Rodzice.

Na tegorocznym zjeździe angielskich psychologów praktycznych pewien psycholog, jak pisze „Journal od Education", oświadczył, że niema gorszej klęski niż rodzice. Ubiegłe stulecie roztkliwiało się nad rolą matki, nad jej znaczeniem dla kształtowania się duszy synów. A tymczasem poradnie roją się od „kochających" matek, które są wręcz przyczyną wykolejenia się i wypaczenia duszy chłopca. Psycholog ów wprawdzie przyznaje, że znał wiele dzielnych matek, ale ich synowie bynajmniej nie byli „maminymi synkami". A co do dziewcząt, to twierdzi on, że wiele więcej znajdziemy egzystencyj złamanych przez nazbyt „czułą mamusię", aniżeli przez „niedobrą miłość". „Ojcowie pod względem złego wpływu na dzieci niewiele ustępują matkom" — dowodził dalej ten wróg rodziny.

„Jakże gorzkie doświadczenie życiowe musiał mieć ów psycholog" — mówi „Journal od Education"! I dodaje złośliwie: „A może wygłaszanie takich sentencyj jest pewnym chwytem przebiegłej i subtelnej autoreklamy?".

Nam zaś nasuwają się mimowoli na myśl słowa Alf. de Musset'a:

„Wszyscy mężczyźni są kłamliwi, niestali, zarozumiali, tchórzliwi, godni pogardy. Wszystkie kobiety są przewrotne, chytre i próżne... Ale istnieje na świecie rzecz święta i wzniosła, jest nią związek tych dwóch istot tak niedoskonałych i okropnych".

Czyż to samo nie da się powiedzieć o roli ojca i matki? Krzywdy, wyrządzane (najczęściej nieświadomie) dzieciom przez rodziców, są doprawdy niezliczone, a jednak nic na świecie nie zdoła zastąpić rodziny jako pierwszej szkoły ludzkiego współżycia, szkoły miłości, i wszystkie wypaczenia uczuć rodzicielskich nie obalą tej prawdy, że tylko w atmosferze rodzinnej kształtować się może harmonijnie dusza człowieka.

O AMBICJI.

Ludzie pozbawieni ambicji budzą pogardę, są lekceważeni, nikt się z nimi nie liczy. Brak ambicji poniża w człowieku jego człowieczeństwo.

Wymagać wiele od siebie, zakreślać zadania trudne do wypełnienia w tym przeświadczeniu, że się je dobrze wykona — oto cecha jednostek o dużej ambicji, a zatem towarzyszy jej wiara we własne zdolności i siły, w ich samowystarczalność.

O ile zamierzenia nie przekraczają naszych możliwości, ambicja staje się bodźcem do dalszych, nowych poczynań, człowiek obdarzony tym cennym przymiotem nie stoi w miejscu, lecz pnie się

coraz wyżej, dochodząc nieraz do zawrotnych wysokości.

Wszelka emulacja i szlachetne współzawodnictwo w niej bierze swój początek. W związku z tym ambicja jest ważnym czynnikiem wychowawczym. Często się zdarza, że dziecko, które było leniwe i niechętne do nauki w domu, wśród kolegów i rówieśników w szkole staje się wzorowym uczniem. O ile oddaje nam wielkie usługi normalnie rozwinięta ambicja — to nadmiernie wygórowana przynosi szkodę.

Oto kilka przykładów.

Michaś jest dobrym uczniem. Choć pilny i pracowity, nie może jednak dorównać najzdolniejszym kolegom. Z tego powodu ma w domu wiele przykrości, gdyż ojciec na punkcie syna ma wielkie aspiracje.

— Ja byłem zawsze prymusem, a i ty nie możesz być od innych gorszy.

— Odrobiłem już lekcje — myśli Michaś — ale jeszcze kilka zadań dla wprawy.

Otwiera książkę, ale jakoś do głowy nie idzie... tatuś mówi, że był zawsze pierwszym uczniem, on zaś tylko średniaczkiem...

Michaś do późnej nocy ślęczy nad matematyką. Nakoniec wkłada książkę pod poduszkę i zasypia.

Nazajutrz budzi się z bólem głowy.

— Jestem niezdolny, pomimo starań nie osiągnę wyników celujących.

Michaś nie mogąc sprostać wymaganiom ojca — zniechęca się do pracy. Trójki i czwórki budzą niezadowolenie, ocen najlepszych nie zdobędzie, wobec tego przestanie się wogóle swymi obowiązkami przejmować. Wszystko mu jedno, i tak wie, że daleko nie zajdzie.

Stawianie celów zbyt trudnych do osiągnięcia wywołuje depresję. Czasem bywa inaczej, są jednostki uparte i nieustępliwe.

*

* *

— Gdy nie zdam matury — mówi Ewa.

— To co, ziemia się przecież nie rozstąpi.

— Tak sądzisz, bo nie wiesz, co o tym myślą moi rodzice, rodzina, kuzynki, pokazać bym się na oczy nie mogła, raczej do domu nie wrócę...

Takie i tym podobne rozmowy słyszy się nieraz w szatni, na schodach, w korytarzach szkolnych.

Chciało by się podejść, rozchmurzyć to zatroskane czoło i powiedzieć.

— Dalibóg, Ewuniu, świat jest piękny, słońce świeci, liście barwią się pierwszą wiosenną zielenią, jesteś młoda, już samą możliwość porażki tak bierzesz do serca, a wszystko w obawie przed tym, co powiedzą inni, bo wiem, że o to ci chodzi przede wszystkim, nie o stracony rok, bo masz ich jeszcze dużo przed sobą, gra tu rolę przeczulona ambicja, czy nie mam racji? —

Nasuwa mi się fakt z życia jednej dziewczynki, opowiadany przez jej własną matkę.

— Jeżeli Józi zwrócić uwagę w obecności drugiej osoby, to nie przyzna się nigdy do winy, nie chce przeprosić, to też unikam tego i zawsze strofuję ją w cztery oczy.

Raz się zdarzyło, że jako mała jeszcze dziewczynka, zapytała przy obiedzie: Czy schab był żywy? Nie mogłam wstrzymać uśmiechu. Józia siedziała nadąsana. Wszczęto przy stole rozmowę o potrzebie zaciągnięcia pożyczki na kanalizację. I znowu pytanie: — Czy smaczne są te porzeczki i dlaczego ich nie podano? Wybuchnęłam głośnym śmiechem. Wtedy Józia rzuciła w gniewie krzesłem i wyszła z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Postanowiłam zostawić ją tam czas jakiś, niech się uspokoi i zrozumie niewłaściwość swego postępku. Jakież było moje zmartwienie, gdy wszedłszy do pokoju ujrzałam rozlany na dywanie atrament. Nie było to zrobione przypadkiem. Urażona ambicja spowodowała chęć odwetu. Odtąd nie śmieję się z niej nigdy, szczególniej w obecności innych — kończyła matka.

Nie przesadzę pisząc, że człowiek pozbawiony ambicji nie jest pełnym człowiekiem, lecz ten, nad którym ona bezwzględnie panuje, nie wytrzyma próby

zetknięcia się z życiem i stanie się ofiarą pierwszego zawodu. Jednostka taka wymaga od siebie zbyt wiele, więcej niż spełnić jest zdolna, pragnie zająć wybitne miejsce, wyróżnić się, wysunąć na czoło — tymczasem zostaje zdystansowana.

Nie należy zatem przez wychowanie nadmiernie rozdmuchiwać ambicji. Wypaczona — przeradza się w próżność i pychę, która jest przecież jednym z siedmiu grzechów głównych.

Jadwiga Kopciowa.

Z dobrego serca.

Państwo Z. zdecydowali, że jadąc w góry ze swoim siedmioletnim Zdzisiem, zabiorą ze sobą synka kuzynów, Tadzia. Tam w domu dzieci dużo, warunki materialne trudne, musiałby chłopak siedzieć całe lato w mieście. A że Zdziś jest jedynakiem, bardzo mu dobrze zrobi pobyt z drugim chłopcem, zwłaszcza że wiek jest prawie ten sam. Będzie więc z obu stron korzyść i zadowolenie.

Mały Tadzio dowiedziawszy się, że ma jechać w góry, chodził nieprzytomny ze szczęścia i tęsknił do nich całą siłą swego chłopięcego serduszka, które akurat wkraczało w wiek żądny przygód. Po nocach śniły mu się nieznane a upragnione góry, zanudzał wszystkich na zmianę pytaniami „jak tam jest" to znowuż opowiadaniami jak sobie sam to wyobraża. Jechał taki zachwycony, taki szczęśliwy. Już w pociągu, niemal od samego odjazdu oczekiwał, że zaraz z za zakrętu wyrosną wymarzone góry. Zdziś jako doświadczony — jeździł co roku w góry — usiłował zbagatelizować ich urok, że to ostatecznie nic takiego, nie ma czym tak się znowuż zachwycać.

Wreszcie przyjechali. Ostatnie kwadranse jazdy, kiedy już naprawdę było widać góry, Tadzio uwieszony u okna chłonął je w rozszerzone podziwem źrenice. Na stacji był prawie nieprzytomny i zaraz chciał iść „daleko i wysoko, o tam na sam wierzch"! pokazywał na któryś z najwyższych szczytów. Uświadomiony Zdziś zmroził jego zapał lekceważącym uśmiechem, że tam w ogóle jest bardzo trudno, dużo dalej niż się zdaje i dzieci tam nie chodzą, a Tadzio jest głupi, że się tam wybiera.

I tak zwolna codzień różowy zachwyt Tadzia warzył Zdziś swoim wyśmiewaniem i powoli Tadzio zaczynał jakoś coraz bardziej czuć się obco u wujostwa i nieznacznie zaczęły przysuwać się myśli o domu, o tamtym podwórku, o tamtym życiu.

Po paru dniach Zdziś się zaziębił, nie wolno mu było brodzić w potoku i bawić się pod wodospadem, gdzie właśnie odbywały się zwykle najweselsze zabawy. Zdziś kicha i kaszle, więc nie może moczyć nóg, a Tadzio dla spokoju, żeby Zdzisiowi nie było przykro, niech też będzie zdaleka od wody, choć jest zupełnie zdrowy.

Obu chłopcom z powodu dużego ruchu samochodowego nie wolno samym przechodzić przez szosę, ale akurat dziś wieczorem trzeba odnieść gazetę znajomym, którzy mieszkają za szosą, a Zdziś ma większy katar i prosi, żeby rodzice siedzieli przy nim w pokoju, więc Tadzio — przecież jest o tyle starszy (rok różnicy) — niech skoczy. Po jego powrocie okazało się, że został tam szal pani Z., więc ponieważ Tadzio już raz był,niech pobiegnie jeszcze raz, tylko „na jednej nodze" bo czas już spać.

W pensjonacie Zdziś ma jeść siekane kotlety, niech i Tadzio je to samo, choć bardzo prosi o naleśniki nieśmiało zaznaczając, że bardzo nie lubi kotletów. Ce-

na jednakowa, ale niech już dla ułatwienia jedzą to samo, a naleśników nie lubi Zdziś...

Zdziś jest po chorobie, nie może się męczyć, więc nie pójdzie na spacer. Tadzia chcą zabrać znajomi ze swoimi dziećmi, ale nie potrzeba, musi być jednakowo. Zdziś zalewa się łzami, nie trzeba mu robić przykrości, Tadzio może się bawić koło domu. „Zdzisiek, przestań płakać, koteczku, patrz Tadzio też nie idzie!"

Tadzio jest bardzo niegrzeczny, wprost niesforny, rady sobie z nim dać nie można, w dodatku taki nieinteligentny. Zdziś jest dużo inteligentniejszy, choć o t y l e młodszy. Ktoś protestuje, że przecież Tadzio taki miły chłopaczek, taki usłużny. Gdzie tam! Pobyć z nim na dłużej, to dopiero się widzi. A jaki nieustępliwy. Nigdzie nie chce ustępować Zdzisiowi — jako druzgocący argument podaje matka Zdzisia.

Tadzio ma piękne oczy, ktoś zachwyca się, że błękitne jak chabry. „Ech, takie na wierzchu i głupie!" — decyduje mama Zdzisia.

Zdziś skarży się na Tadzia i płacze, pani Z. gniewa się bardzo na Tadzia, że tak dokucza jej synkowi, który jest zbyt mały, żeby się umiał obronić. Tadziowi jest bardzo przykro, bo wcale ciocia nie ma racji, wcale nie wie jak to było, a Zdziś skłamał, ale Tadzio nigdy nie płacze, jest przecież mężczyzną! Powiedział to kiedyś Zdzisiowi, kiedy ten się mazał, niestety powiedział zbyt głośno. „Zdziś jest jeszcze dzieckiem, a ty dużym chłopakiem" — wyjaśniła rzeczowo pani Z.

Cokolwiek się stanie, coś spadnie, jakieś dziecko się rozpłacze, już rozlega się groźne wołanie „Tadziku!"

— Słucham, ciociu.

— A, jesteś! Myślałam, że to ty coś tam zrobiłeś.

Radosna pieśń wojowników, którą wyśpiewuje Tadzio, jest wyciem, Tadzio chodzi jak słoń, kiedy wujek śpi, Tadzio zachowuje się jak dzikus, gdy cieszy się, że jego tama na potoku jest większa od tamy Zdzisia, Tadzio zawsze jest tam, gdzie najwięcej przeszkadzą i w ogóle ten dzieciak chyba ma „bzika".

A biedny Tadzio jest nieszczęśliwy, czuje się udręczony, nie rozumie dlaczego. Zwierza się towarzyszowi zabaw, Stefanowi, że właściwie wolałby już i tych gór nie widzieć, choć są takie śliczne i być ze swoją mamą, ze swoim ojcem i rodzeństwem, bo choć się często biją i ojciec czasem też dołoży i matka krzyknie, ale wiadomo o co chodzi, a nie jak tu, że nie wiadomo, co się właściwie złego robi, a są źli. Dobrze, że już tylko tydzień wakacji, takie życie „jak tutaj właściwie jest bardzo ciężkie"... wzdycha z goryczą. — „A u nas, wiesz Stefek, jest takie wielkie podwórko, my się tam bawimy wszyscy. Czasem reperują jeden samochód, no wtedy to się można bawić". — kończy tęsknie uśmiechnięty.

A mama Zdzisia chodzi dumna w glorii swej zasługi: „Żeby nie my, to siedziałby dzieciak w tej dziurze, w tej ich duchocie i nic nie widział. Przynajmniej zobaczył inny świat, poznał inne życie. Gdzie miałby okazję zobaczenia tego?"

Stefek, dziesięcioletni przyjaciel Tadzia, słysząc te zachwyty skrzywił usta zupełnie nie po dziecinnemu i gdy patrzał na panią Z., może w oczach jego prócz uwagi, z jaką słuchał, był jeszcze inny wyraz, którego pani Z. nie zauważyła pochłonięta rozmową, a może — zauważywszy nie umiałaby prawdziwie zrozumieć.

„Iks"

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH

opłacających prenumeratę zbiorową
od 10 egz. miesięcznie — 70 gr. za egz.
od 20 egz. miesięcznie — 60 gr. za egz.

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11

(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020

Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40